▪ DWAJ PISARZE URUGWAJSCY – FRANCISCO ESPINOLA I ENRIQUE AMORIM ▪

ODRODZENIE

TYGODNIK

Nakład: 40.000
Redakcja: Daszyńskiego 16
Administracja: Daszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok V | Warszawa, dnia 3 października 1948 r. | Nr 40 (201)

JULIAN PRZYBOŚ

PODRÓŻ DO KRAJU

1

Tam w nieznanem podróży, w samym jego środku
widnokręgi jak obręcze odpadają od kół —

Śród dwóch ścian pędzącego pociągu,
jak śród pchniętych na zewnątrz,
ustawicznie odmykających okclice okiennic,
słyszę
w stuku kół: dźwięk młota wzdłuż szelestu kielni
i widzę mój kraj wyżej, jak wiechę powiewną
zatkniętą na budowie u piorunociągu:
tu, w pociągu — błyskawicy niższej.

2

Z błyskawicznej — na styku promieni
zórz wieczornej i porannej — nocy
świętojańskiej wychylam się, milczę:

Tylko radio się żarzy
jak małe odbudowy zgliszcza;
głos górnika z Dąbrowy
przebił tunel nocy, wnosi
ponadnormę wykonanych marzeń
i odkwita z bryły węgla kwiat paproci —

Wschód nawija na krąg słońca widnokręgi podróżnicze.

W najbliższych numerach ukażą się głosy prasy zagranicznej o kongresie wrocławskim oraz artykuł podsumowujący Jerzego Borejszy

J. D. BERNAL

Kongres wrocławski

Przemówienie Fadiejewa na kongresie wrocławskim było mocne i bezwzględne, tak jak mocne i bezwzględne były doświadczenia, z których ono wyrosło: — prawie niewiarygodne bohaterstwo i wytrzymałość oblężenia Leningradu. Czy można się dziwić, że ludzie, którzy to wytrzymali, nie mogą opanować swego oburzenia na tych, którzy otwarcie planują powtórzenie tych okropności, albo swojej wzgardy dla tych, którzy są zbyt sumienni, aby wziąć czyjąś stronę? Bowiem pod goryczą przemówienia kryły się dobrze skonstruowane argumenty, które nigdy nie były skutecznie obalcne.

Na nic nie przyda się powtarzać, jak to zrobił mr Taylor, że imperializm i faszyzm są hasłami politycznymi. Nic dotąd nie zaszło, co by zmieniło stare, ekonomiczne przyczyny imperializmu. Pozostaje faktem, że wszystkie kolonie są eksploatowane przez rządy i finansowe potęgi krajów zachodnich demokracji i że nie mniej niż cztery wojny kolonialne toczy się obecnie. Potrzeba wzmocnienia panowania kapitalizmu przy pomocy demagogicznych środków bynajmniej nie uległa zahamowaniu. Jedyna realna zmiana to, że przez klęskę nazizmu ośrodek reakcji został przesunięty tak daleko, że teraz jego odpowiednikiem stał się ośrodek samego kapitalizmu.

Amerykańskie stulecie, amerykański sposób życia i prześladowanie „nie — amerykańskiej" działalności, czy nawet myśli, są wyrazem zorganizowanej i potężnej siły, zmierzającej zupełnie świadomie do klasowego i światowego panowania. Pod sztandarami antykomunizmu jak za dawnych dni Osi — cały naród amerykański jest zaprawiany do wzięcia czynnego udziału w wojnie o zupełne panowanie nad światem.

Niczego nie brak ze starych rekwizytów faszyzmu — kult brutalności, doktryna rasistowska, zastąpienie przez lojalne fronty pracy antykapitalistycznych związków zawodowych, obniżenie powszechnej kultury, powrót do irracjonalizmu i mistycyzmu. Zmieniło się tylko jego oblicze. Ma teraz więcej hipokryzji niż cynizmu; świat nauczył się czegoś, ale jeszcze za mało i stare towary ciągle jeszcze mogą być sprzedawane pod nowymi etykietami wolności i demokracji.

Ruch pokojowy, który nie jest zajęciem określonego stanowiska i walką przeciw spadkobiercom faszyzmu i jego idei, jest złudzeniem, gorzej nawet, jest rozbiciem wysiłku, idącym tylko na rękę macherom wojennym.

Jeżeli kongres wrocławski sprawił tylko tyle, że fakty te dotarły do świadomości intelektualistów, to już spełnił swój cel: lecz on zrobił znacznie więcej. Wszystko co działo się poza urzędowymi spotkaniami — rozmowy przy posiłkach i wszędzie indziej — wszystko to przyczyniło się do stworzenia, po raz pierwszy od zakończenia wojny, poczucia nowej intelektualnej ery.

Ton tej ery nie znalazł jeszcze wspólnego wyrazu, jest to ton świeżo uwolnionych i dotąd walczących ludzi; właściwa mu atmosfera naglącej potrzeby i odpowiedzialności nie jest zrozumiała dla intelektualistów tych chronionych krajów, które tęsknią, aby w spokoju uprawiać swoje ogródki. Lecz rozbrzmiewa on głosem naszych czasów i jeżeli go nie posłuchamy, sami będziemy winni swoich cierpień.

J. D. Bernal

[The New Statesman and Nation, September 18, 1948].

AIMÉ CÉSAIRE — przełożył JAN KOTT

WARSZAWA 48

tutaj cegła jest szyderstwem zła
cegły na ulicach rozbitych
cegły na Żydach zabitych
cegły cegły cegły
skręcone żelazo kikuty strutych szczurów góry na górach
całun

tutaj cegła jest pierwszą sylabą grozy
tutaj cegła wiąże się z cegłą jak ciało z trupem
tutaj cegła jest stosem dni rażonych w pełnym słońcu i listów bez [odpowiedzi

tutaj fala przypływu nazywa się cegłą
krzak gorejący nazywa się cegłą
cegła wybuch wulkanu
cegłą czkawka
cegła wstrząs ziemi
cegła trzy kule w pierś
cegły krew poległych

jest w cegłach zapach trupi
jest w cegłach ostatni skok
jest w cegłach niewinność słów

i co z tego że noce i dni
podobne są do niesprzątniętego pola z pazurów zamordowanej sza- [rańczy
odtąd cegła jest poza krwią pierwszym krokiem świata
cegła każdym ruchem dziecka naprzód poza kołyskę
cegła poważnym krokiem bociana nad pomrukiem wzbierających [wód

odtąd cegła
żar skrzydło żar ptaka

i nad wyniosłość białego masztu
silniejszy na zawsze
miecz syreny i smocza pieczara
każde skrzydło
aż po mleczną drogę karmiącą narodziny nieznanej gwiazdy
N A D Z I E J Ą
naszą N A D Z I E J Ą

a jednak jeszcze silniejsza
niebieskość łąk gdzie ważą się oczy twych dzieci
Polsko

i zuchwały spokój ogromnych słoneczników

RENAUD DE JOUVENEL

HOWARD FAST

Z okazji ukazania się nakładem „Wiedzy" książki Howarda Fasta „Tom Paine" zamieszczamy poświęcony Fastowi, krótki szkic pióra Renaud de Jouvenel, zamieszczony w numerze wrześniowym „Europe".

Twórczość Howarda Fasta należy niewątpliwie do najmocniejszych zjawisk literackich na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat, najsilniej pulsujących miłością i wiarą w ludzkość.

Poza tym tak przez swoją treść jak i przez świadomość autora, należy ona do tego realizmu socjalistycznego, który z obowiązków pisarza stawiam na pierwszym miejscu.

Jeżeli skala tej dodatniej oceny, mogłaby jej nadać pozory banalności, wystarczą same książki Howarda Fasta, aby przekonać czytelnika ,są one bowiem najlepszymi rzecznikami jego sprawy i sprawy literatury godnej swego przedmiotu.

Niemało przebiegły lub też niegodziwy byłby ten, kto by nie polubił bohaterów Fasta, lub który poznawszy ich, nie dał się podbić żywiołowością uczuć, wyrażanych przez autora. I w tym leży powód, usprawiedliwiający politykę przemilczania: jest to talent nie mieszczący się w katalogu mieszczańskim.

Urodził się w r. 1914, w Nowym Jorku, w rodzinie ludzi pracujących. Za biedny, aby dostać się do tych wspaniałych uczelni amerykańskich, które kształcą dla Ameryki najlepszych ludzi interesu, do piętnastego roku życia zdobywał wiedzę w szkołach dokształcających, właściwie jednak był samoukiem.

Kryzys 1929 r. zmusił go do zarabiania na życie i odtąd rozpoczyna się długi i twardy szlak jego wędrówki poprzez Stany Ameryki. Chwyta się niemal wszystkich zawodów, zbierając tragiczne, ludzkie doświadczenie i poznając dzień po dniu, budzące najgłębszy sprzeciw cechy kapitalizmu amerykańskiego i wyzysku społecznego.

Młody Fast uczy się. To co odkrywa, my widzimy z kolei, wyłaniające się ze stronic Piotra Altgelda. Przypomnijcie sobie wieśniaczą młodość młodego wychowawcy i jego drogę krzyżową, kiedy pracował na kolei.

Młody Fast zaczyna pisać. Ma dziewiętnaście lat, kiedy ukazuje się jego pierwsza książka. Nie jest to jeszcze zwycięstwo, lecz debiut, który mu pozwala poświęcić się powołaniu pisarza. Powodzenie czyni go szybko jednym z najbardziej poczytnych pisarzy w Stanach Zjednoczonych i to pozycją poważną: więcej niż sześć milionów egzemplarzy jego książek głosi po całym kraju orędzie wiary i nadziei w człowieka.

Orędzie to przemawia tym dobitniej, że Fast za przedmiot swych utworów bierze wielkich bohaterów demokracji amerykańskiej: Piotra Altgelda, Toma Paine'a, Jerzego Waszyngtona.

To jest historia jego kraju, pisana na nowo, historia prawdziwa: ta, w której ludzie walczą przeciw sobie i przeciw całej potędze świata interesów.

Są to bez wątpienia najbardziej udałe powieści historyczne z wszystkich, jakie dotychczas napisano. Nie możemy oprzeć się chętce zacytowania tego, co o „Niezwyciężonym", powieści o Jerzym Waszyngtonie, powiedział największy krytyk amerykański, Carl Van Doren.

„Niezwyciężony" jest, o ile wiem, pierwszą powieścią, w której Waszyngton myśli i czuje jak każda istota ludzka, a nie porusza się na przestrzeni opowieści niby posąg bohatera. Jeżeli chodzi o wierność historyczną powieści, mogę wyrazić tylko podziw. Książka jest napisana w oparciu o najbardziej ścisłe dokumenty i nie nawraca do żadnych starych legend... „Niezwyciężony" najbardziej zbliża się do prawdy, niezależnie od faktu, że znalazł swoje właściwe miejsce w epoce".

To samo można powiedzieć o wszystkich pozostałych książkach Fasta, z których jedna przewyższa drugą bogactwem ogólnoludzkich nauk oraz zasadniczych ocen społeczeństwa.

„Piotr Altgeld" — opisuje rozwój społeczeństwa uprzemysłowionego, równolegle z obyczajami wyborczymi dwu wielkich partii reakcyjnych, które kolejno dzielą się władzą. „Piotr Altgeld'" to książka tym bardziej dla nas na czasie, że jest historią człowieka politycznie niezależnego, szczerego liberała, który usiłuje zreformować partię demokratyczną i tchnąć w nią ducha prawdziwie demokratycznego, by ją później opuścić i założyć naprawdę niezależną partię trustów. Jeżeli pominąć epokę, to prawie historia Henry'ego Wallace'a. Tych, którzy ostatnio czytali sprawozdania z obrad, poprzedzających wybór Deveya musiało uderzyć podobieństwo — można rzec fotograficzne — z wywodami partii demokratycznej, w której Altgeld poniósł porażkę. Podobieństwa zresztą na tym się nie kończą.

Z Tomem Painem cała rewolucja amerykańska przesuwa się przed naszymi oczami. Być może, że niewielu Francuzów zna tę postać, jest to jednak bohater dużego formatu i omal że nie narodowy bohater francuski. Walcząc najpierw przy boku Waszyngtona i Jeffersona o sprawę niepodległości amerykańskiej przeciw wojskom angielskim, Tom Paine brał następnie udział w Rewolucji francuskiej, próbował wzniecić zamieszki w Anglii, wrócił do Francji, o włos uniknął gilotyny w okresie Terroru, omal nie został doradcą Napoleona i wreszcie dokonał życia, całkowicie poświęconego sprawie wolności narodów otoczony nienawiścią swoich współziomków.

Jakąż nauczkę mogliby wyciągnąć Amerykanie z tego przykładu, gdyby kłamstwo organizowane przez ich wielką Prasę pozwalało im na jakąś wolność myśli!

„Droga wolności" jest pierwszą powieścią amerykańską, która przedstawia problem czarnych w istotnym jego świetle, w jego aspekcie społecznym lecz bez pesymizmu Ryszarda Wrighta, i nie w formie budzących litość opowiadań, jak u Erskine Caldwella, przecież na tyle barwnych, że stanowią wartościowy materiał literacki.

Chodzi o sprawę wolności i wyzwolenia czarnych. Bohaterem „Drogi wolności" jest człowiek, który walczy i prowadzi swych kolorowych braci do walki. Fast zawsze z faktów wysnuwa prawdę historyczną, z historii jej moralne posłannictwo i jeżeli jego książki stanowią lekturę pasjonującą, zawdzięczają to zarówno miłości, jaką autor żywi dla ludzi, jak zainteresowaniu, jakie budzą przedstawione przez niego postaci.

Poza powieścią „Jak hartowała się stal" Mikołaja Ostrowskiego i „Rycerzem nadziei" Jorge Amado, nie znam książki piękniejszej niż „Bohaterowie rozpaczy" Howarda Fasta. Jest to więcej niż romans osnuty na jednym z najbardziej tragicznych epizodów rewolucji amerykańskiej. To prawie pieśń, która sławi to, co najpiękniejsze na świecie: nadzieję. Ci, którzy brali udział w Ruchu Oporu i walczyli w obozach koncentracyjnych, znajdą w niej najczulsze odbicie swoich najgorszych i najlepszych momentów.

Howard Fast był już autorem tych książek, z których trudno było by wybrać najlepszą, kiedy dwa lata temu wydał „Clarkton" historię strajku 1945 r., w małym, prowincjonalnym miasteczku amerykańskim.

Dotknął tu tematu „tabu". Czyż nie przedstawił po raz pierwszy w powieści amerykańskiej, otwarcie, robotnika komunistę jako istotę ludzką?

Prasa przyjęła książkę milczeniem lub obrzuciła obelgami. Mało brakowało, aby książka nie została zakazana, zresztą w kilku Stanach znalazła się na indeksie. Wszystkie dzienniki zamknęły swe podwoje dla świętokradcy. Nastąpiło postawienie Fasta w stan oskarżenia przez Komisję Działalności Antyamerykańskiej, wyrok i odrzucenie apelacji przez Sąd Najwyższy.

Nienawiść, ze swoją tragiczną i śmiesznie trywialną maską z komedii greckiej, dokonała swego dzieła.

Fast znalazł się w więzieniu za odmowę podania nielegalnemu trybunałowi imion uchodźców wspomaganych przez jego „Komitet pomocy uchodźcom antyfaszystowskim" co pozwoliło by generałowi Franco dosięgnąć i prześladować rodziny uchodźców hiszpańskich.

Faszyzm amerykański wie co robi. Howard Fast nie będzie odtąd drukowany w Stanach Zjednoczonych. Komitet Działalności Antyamerykańskiej będzie mógł ścigać wydawcę, który by się z tego wyłamał i skazać go dzięki „sztuczkom" prawa Mundt Nixona. W ten sposób zdławiono głos człowieka wolnego, który dał Stanom Zjednoczonym najpiękniejszy przykład wiary i miłości człowieka, jaki pisarz może ofiarować swym współobywatelom. Ale, na szczęście, przykład Howarda może czegoś nauczyć innych. Twórczość nie będzie dłużej znosić zacofanej samowoli uczniów czarnoksięskich, którzy właśnie pchnęli Amerykę Toma Paine'a i Howarda Fasta , w tę noc, którą ludzie nazywają faszyzmem".

Renaud de Jouvenel
przełożyła **Anna Bartling**

Z WIDOKIEM NA OŚWIĘCIM

błoto błoto i błoto
skąd tak nisko podnosi się niebo
że kraje je ostrze baraków
bud psich
skąd tryskają roje robactwa

pontony nieruchome
parowce odjeżdżające zawsze
zwierzęta spętane na ZAWSZE które już NIGDY nie wierzgną
popioły głód morza
i klatki z pianą bólu

zagaszony stos gdzie wielka noc tłustych żab przemieniła się w łój
latarnia morska kałuży

błoto błoto i błoto
i odór duszący ckliwą pamięć
gdzie w dymach błota
w fermentach
w kosmykach włosów torturowanych
przyległo
jak brytan
niebo

które orze ostrze baraków
jak krzyk dozorców
i ukąszenie bata

Aimé Césaire, przedstawiciel Martyniki w Parlamencie Francuskim, był delegatem na Światowy Kongres Intelektualistów w Obronie Pokoju. Jego przemówienie w obronie równości ras było jednym z najgoręcej oklaskiwanych na kongresie. Aimé Césaire jest poetą. Jego trzeci z kolei tom wierszy: „Soleil cou coupé", wydany w tym roku, uznany został przez krytykę za jeden z najwybitniejszych zbiorów poezji po wojnie. „Słońce ścięta szyja" — tytuł wzięty z wiersza Apollinaire'a. Poezje murzyńskiego poety bliskie są nadrealistom.

W czasie pobytu w Polsce Aimé Césaire napisał dwa wiersze. Jeden z nich: „Warszawa 48" mówi, jak pisze sam Césaire w liście, o „obsesji cegieł, jaką daje Warszawa, a jednocześnie o nadziei, jaką przynoszą te same cegły, kiedy robotnicy układają je jako fundament nowego świata; drugi wiersz jest o Oświęcimiu, o nie dającym się zapomnieć pejzażu śmierci i szaleństwa".

J. K.

1896 · K · 1948

DWAJ PISARZE URUGWAJSCY

ENRIQUE AMORIM

przełożyła ZOFIA SZLEYEN

RUINY WARSZAWY

O Warszawo, twe ruiny oślepiają,
przepalają źrenice, jak krople straszliwej trucizny,
to jedyne w świecie ruiny, które krzyczą w głos.
Ghetto nie znosi ni westchnień, ni szlochów.
Tysiączne wołania, jęki, zgrzyty zamków,
tysiące podciętych kominów, zatrzaśniętych bram, przekleństw
gaszą wszystkie słowa, grążą je w ciemnościach.
O nie — to nie są ruiny z dekoracyj,
to nie są ruiny drzemiące wśród kart zamkniętych ksiąg,
to nie te same, które chlipią na surrealistycznych obrazach,
to nie te zrodzone z literackich wzruszeń
i nie te, które się kryją w sercach degeneratów.
Wstańcie, ruiny, powstań krwi, powstań nędzo!
Baczność cmentarzu, przecina cię krzyk
biegnący przez wieczność, przez sny, przez wodę i mroki.
Oto robotnicy podnoszą kolumny:
ich ręce w gruzach, dźwignie — w chmurach.
Czy tworzą nowy kształt dla atomowej bomby?
Uwaga, uwaga, weseli towarzysze —
ubezpieczcie rusztowanie kwiatami i młotem!
Płomienne wzloty, koral, marmur,
transmisyjne pasy, heble, rosę, oliwę i glinę!
Utrwalcie fundamenty trudem, potem, pieśnią!
Utrwalcie życie na przekór barbarzyństwu!

ENRIQE AMORIM

Powód do smutku

Zwykle po kolacji, a prawie zawsze, gdy są u nas goście, mam zwyczaj odczytywać na głos nowele, opowiadania, wiersze. Jest to sposób spędzania długich wieczorów zimowych zwłaszcza, gdy w kinie miasteczka Colinas wyświetlają filmy, które już znamy.

Nigdy nie byłem szczególnie mocny w głośnym czytaniu i może z tego powodu każdy najmniejszy hałas bardzo mi przeszkadza. Gdy gwiżdżące sapanie młyna rozdrapuje noc, odczuwam gwałtowną przykrość. Przypominam sobie, że raz wieczorem wstałem z krzesła, aby przykręcić kran, gdyż zdenerwowały mnie dźwięcznie spadające krople. Ponieważ czytanie bywa zwykle zaimprowizowane, nie potrafię wytworzyć nastroju oczekiwania, które jest powołane do narzucania ciszy.

Mieliśmy służącą Murzynkę. Lubiłem patrzeć na Karolinę, gdy chodziła wśród krzewów często z wiązką róż na ramieniu, a jeszcze większą przyjemność sprawiało mi przyglądanie się jej zabawom z dziećmi, bo tylko murzyńskie niańki potrafią zabawiać dzieci na tysiączne, prawdziwie cudowne sposoby. Jeśli idzie o pomysłowość, to czarna służąca przewyższa każdą inną pracownicę domową. Mają one szczególny wdzięk w obcowaniu z dziećmi, potrafią się nimi zająć i potrafią zdobywać sobie ich wyjątkowe przywiązanie. Ja sam miałem mamkę Murzynkę, co mi kiedyś wyznała moja matka w formie prośby o przebaczenie. Ta wiadomość posłużyła mi do wyjaśnienia sobie, dlaczego na ogół wolę Murzynów, niż niektórych białych ludzi.

Ale murzyńska pracownica w naszym Colinas nie lubiła mnie. Przypuszczam, że kiedyś bezwiednie musiałem powiedzieć coś obrażającego jej rasę, może jedno z tych ogólnie przyjętych, bezsensownych powiedzonek. Mogłem na przykład wyrazić się o jakiejś czarnowłosej dziewczynie, która nas nie w porę odwiedziła: „ta świńska murzynka". Musiała to usłyszeć Karolina i odtąd mnie nienawidzi.

Za każdym razem, gdy zabierałem się do głośnego czytania jakiegoś wiersza, lub gdy zapalałem się w toku opowiadania, Murzynka zaczynała szczękać naczyniami, które ustawiała w kredensie, albo układała metalowe nakrycia dźwięczące głośno w jej zręcznych dłoniach.

Wtedy przerywałem czytanie, piorunowałem ją spojrzeniem pełnym rasowej nienawiści i obrzucałem gorzkimi wyrzutami moją żonę, która natychmiast wstawała i łagodnie wyprawiała Murzynkę z pokoju. Poczytywałem to za brak szacunku, że wchodzi do stołowego właśnie wtedy, gdy ja oddawałem się czytaniu. Doszło do tego, że uważałem, iż robi to naumyślnie, mnie na przekór, że chce mi przeszkodzić. Jak już wspomniałem, wiem, że czytam bardzo źle. Ale lubię głośno czytać tak, jak lubię wiele innych rzeczy, których nie umiem robić dobrze, ale robię je, bo mi to sprawia przyjemność.

Murzynka Karolina stała się moją nieprzyjaciółką. Czasem, nim zaczynałem głośne czytanie, ociągałem się naumyślnie, aby dać jej możność przezornego wycofania się w czas i uniknięcia przez to dalszych przykrości. A właśnie tego wieczora Karolina marudziła przy czyszczeniu nakryć stołowych i wdzierała się do stołowego pokoju z coraz to nowym stosem widelców i łyżek. Wrzucała to wszystko z hałasem do szuflady, a moim zdaniem robiła to naumyślnie. Wtedy zrozumiałem, że ta kobieta mnie nienawidzi. Ten nieznośny sabotaż, który Murzynka rozciągnęła też i na czas dziennej pracy, skończył się w przykry sposób. Moja żona wymówiła miejsce Karolinie, abym mógł odzyskać swobodę podczas wieczornych czytanek.

Odtąd czytywałem bez przeszkód, ale równie źle, jak dawniej, w obecności murzyńskiej pracownicy. Moi goście zachowywali absolutny, aż przesadny spokój i wymieniali powstrzymywane uśmiechy z moją żoną. Ale dobra proza i zainteresowanie treścią czytanych tekstów kazały im wkrótce zapominać o tej niewczesnej ironii. I zawsze w końcu udawało mi się przykuć uwagę mego zaimprowizowanego audytorium.

*

Gdy jestem u siebie w Colinas, mam zwyczaj chodzić na brzeg rzeki w poszukiwaniu egzotycznych roślin, naniesionych przez wodę ze strefy podzwrotnikowej pod pretekstem przesadzania tych roślin do mego ogrodu. Rzeka wie, co robi. Wie, że ja mogę przyjść, zabrać jej rośliny i stworzyć im odpowiednie warunki życia w cywilizowanym ośrodku. Mam taką, zrozumiałą zresztą, ambicję.

Pewnego wieczoru, gdy właśnie zacząłem oddawać się temu drobiazgowemu zajęciu, którego nigdy rybacy nie potrafią ocenić, i odczepiałem gęstwę karłowatych ostów, podniosłem wzrok i ujrzałem moją Murzynkę. Siedziała nad rowem i sączyła napar ziela mate. W łachmanach, ze wzrokiem wbitym w przestrzeń była niewzruszona i majestatyczna, jak pień chlebowego drzewa. Na mój widok uśmiechnęła się i próbowała doprowadzić do przyzwoitszego stanu swoje łachmany, przykrywając nimi obnażone uda. Ale że nie wyrzekła nic, więc zwróciłem się do niej ciepło, z widocznym pragnieniem pogodzenia się:

— Popijasz ziółka? — zagadnąłem jak najserdeczniej.

— Tak... Cóż robić... Jedni piją mate, drudzy zbierają chwasty.

Zrozumiałem, że ta odpowiedź kryła w sobie subtelną ironię, charakterystyczną dla jej rasy.

Kopałem dalej i żadną zręczną odpowiedzią ani żadnym słówkiem nie starałem się poprawić mojej niemiłej sytuacji. Wreszcie, gdy już zebrałem wielki pęk nietutejszych roślinek, wpadło mi na myśl zapytać:

— Czy wcale nie tęsknisz za naszym domem? — rzekłem przygotowany każdej chwili do natychmiastowego odwrotu, gdyby odpowiedź była niegrzeczna.

— Taak... Trochę człowiekowi tęskno, senior. Po co ukrywać. Ale co robić. Nikt nie ma tego wszystkiego, co by chciał mieć. Na pewno i panu coś takiego się przydarza, tylko w innych rzeczach, senior...

— A za czym ci markotno, Karolino? — spytałem zdecydowany w tej chwili naprawić zło, któreśmy jej może wyrządzili.

— Markotno?... Jedyna rzecz, senior, której żałuję, to te wieczorne czytania, kiedy przychodzili goście. Ach, jakie śliczne wiersze pan wybierał dla swoich przyjaciół! Strasznie mi było przyjemnie słuchać tego pańskiego czytania, senior...

Będę się starał zapomnieć to zdarzenie w Colinas. Bo to wspomnienie jest zawsze dla mnie powodem do smutku.

Enrique Amorim

Przełożyła **Zofia Szleyen**

Nowela ze zbioru autobiograficznego cyklu „Groteski z Colinas", znajdującego się jeszcze w rękopisie.

FRANCISCO ESPINOLA

przełożyła ZOFIA SZLEYEN

Sprawa życia

Zapadła noc i niebo, wciąż jeszcze zaciągnięte chmurami, groziło deszczem. Silny wiatr rozpychał na boki wszystko, co popadło, jak gdyby torował sobie drogę. Ale co to była za robota! Zamiatał i gromadził w sterty liście, strzępki surowej wełny, śmieci, potem to wszystko okręcał na miejscu, aby wirowym ruchem unieść do góry, i rozrzucić, rozpylić na cztery strony świata... Chwilami ustawał, aby zaraz o kilka kroków dalej rozpocząć znowu taki sam taniec. Wydawało się, że ten wiaterek czekał na coś i tak sobie szalał dla zabicia czasu.

— Jeśli wiatr się zmieni, będzie lało — powiedział jeździec do swego towarzysza, jadącego wierzchem tuż obok.

— Widzi mi się, że z tym samym wiatrem też lunie — odrzekł tamten, krzesząc pęk iskier z krzesiwa, aby zapalić papierosa.

— Przestań kurzyć, Juanie — odezwał się pierwszy jeździec. I odwracając się powiedział do trzeciego, jadącego w tyle za nimi:

— Słuchaj-no, ty też przestań ćmić. Już podjeżdżamy.

— Daj mi swięty spokój.

— Rzuć to, psiakrew! — warknął pierwszy rozkazująco i już chwytał za cugle, aby zawrócić.

— No dobrze już, dobrze, José Maria! — odkrzyknął zagadnięty, wyjął z ust niedopałek, rzucił i dogonił tamtą dwójkę. — A ty — dodał po chwili — wściekasz się o byle co.

— Mój stary, przecież już jesteśmy tuż-tuż, a taka bzdura może kosztować głowę — odpowiedział teraz spokojniej José Maria.

— No dobrze, ale dlaczego tobie wolno, co?

— Więc co? Chcesz się może ze mną bić? — zaśmiał się zaczepiony. Zagniewany uśmiechnął się także i dodał:

— Prawdziwie kiepski wariat z ciebie!

I otuleni w ciemność jechali dalej szybkim truchtem.

José Maria był to młody człowiek raczej wysoki niż niski, o kościstej twarzy i wąskich wargach, nad którymi cieniutką linią rysował się wąsik w stylu indyjskim. Jego towarzysz, wyglądający na Indianina, był szczupły i szeroki w plecach. Siedział na niskim, krajowym koniku, a jego długie nogi nie tkwiły w strzemionach i prawie dotykały ziemi. Za nimi z tyłu jechał suchy, maleńki staruszek około sześćdziesięcioletni, z wielką blizną od cięcia biegnącą przez policzek wzdłuż zębów.

— Ano, chodźmy tędy — zdecydował José Maria. Zatrzymał konia przed furtką, którą otworzył bez trudności.

Przeszli, zostawili za sobą otwartą furtkę, ale nie poszli drogą prowadzącą do zabudowań widocznych teraz w świetle księżyca, tylko skręcili w stronę grupy wielkich drzew ombu i tam się zatrzymali. Uwiązali konie i z oczyma utkwionymi w domy, czekali. Cisza była zupełna. Wiatr ucichł i nawet liście zastygły w bezruchu. Czekali tak dłuższą chwilę, gdy nagle jakiś drobny cień oddzielił się od wielkiego cienia zagrody i zaczął się posuwać wprost ku drzewom ombu.

Był to mężczyzna, który na powitanie wyrzekł tylko dwa słowa:

— Idziemy, co?

— Ilu ich jest?

— Tylko dwóch, bo gospodarz i dwaj parobcy poszli ze stadem.

— Co z psami?

— Wszystkie leżą na kupie. Żaden nawet nie zaszczeka.

— Dobrze... No to chodźmy.

Wszyscy trzej postępowali za Rengo, który posuwał się powoli i wskazywał drogę. Weszli przez stodołę. Przed drzwiami komory, gdzie spali parobcy, obmyślili sobie wszystko dokładnie. José Maria i Rengo załatwią się z silniejszym, a Juan z drugim, zupełnie jeszcze młodym chłopakiem. José Maria uchylił drzwi, wetknął głowę, nastawił ucha. Później wyciągnął głowę i w milczeniu dawał znaki pozostałym. Chłopak spał pod ścianą, a drugi parobek w środku pokoju.

Rengo gdzieś znikł i za chwilę zjawił się ze świecą w ręce. Świecę wziął staruszek, a że w tej chwili nic im grozić nie mogło, zapalił ją i wszyscy razem wtargnęli do komory. W blasku płomienia świecy zajaśniał nagłym światłem cały pokój. W tej samej chwili straszny grzmot wstrząsnął ziemią.

II

Amelia nie mogła zasnąć. Od czasu swego zamążpójścia, więc prawie od roku, nigdy nie zostawała sama. Gdy mąż wyjeżdżał, zawsze była z nią jedna z sióstr, albo brat Eulagio albo nawet sam ojciec. Tym razem cała rodzina była zajęta ubojem wieprzy, więc Amelia wolała sama pójść do ojcowskiego domu i zostać tam aż do powrotu męża, to znaczy jakieś piętnaście dni. Jej dobrzy znajomi, Echabarnowie, byli właśnie w miasteczku, ale mieli powrócić nazajutrz i obiecali pożyczyć jej wóz, aby mogła pojechać do ojca dziś po południu, bo biedaczka była już bardzo „ciężka" i nie mogła jechać konno.

Żałowała teraz, że nie poprosiła którejś z panien Banegas, aby jej towarzyszyła choćby przez dzisiejszą noc. Ale ona tak nie lubiła nikogo fatygować... Ale przecież parobcy to dobre chłopaki i obaj przywiązani do domu. A jednak było by przyjemniej!... Czuła się trochę niedobrze. Wchodząc do pokoju uderzyła się drzwiami i teraz wszystko ją bolało. Poza tym taki dziwny jej się wydawał pokój, gdy była w nim sama jedna; a łóżko takie olbrzymie, gdy przewracając się na nim z boku na bok nie napotykała na dotknięcie najmilszego ciała... Miała ochotę zapalić światło, aby skończyć przynajmniej te białe, prawie już gotowe, maleńkie pończoszki, ale pragnienie to wnet zasłoniła cała masa słodkich myśli o tym maleństwie, które miało się urodzić i o dobrym mężu, stale zapracowanym i pełnym troski o to, aby niczego nie zabrakło jej samej i dziecku, które mu ma dać... A jak jemu musi być zimno w tej chwili! Krąży wciąż po tych wielkich pastwiskach wokoło stada, a uparł się, że nie włoży cieplej koszulki! Co ja mam z tym człowiekiem, Boże drogi!

Straszliwy grzmot wstrząsnął domem aż do posad. Wypadła z zawiasów rozluźniona okiennica i wiatr uderzył nią o ścianę. Kilka kropli deszczu igiełkami chłodu ukłuło twarz Amelii. Drżącymi rękoma zamknęła niezręcznie okno i siadła na łóżku, a serce podchodziło jej do gardła.

W tej chwili doszedł ją przeraźliwy krzyk, krzyk człowieka ginącego, który nie mając się czego uchwycić we własnej obronie, tym ostatnim krzykiem czepia się życia.

Amelia zatrzęsła się. Nie wiedziała co robi, gdy wybiegła ku drzwiom, prowadzącym na ganek, oparła się plecami o balustradę, aby jęczeć przeciągle drżącym z przerażenia głosem:

— Święta Matko! Święta Matko! Święta Matko!

Stała tu bez ruchu, ale myślami była daleko od tego miejsca. Jej rozszerzone strachem oczy patrzyły w twarz świętej i widziały siebie samą całującą w pokorze proch jej stóp i błagającą o zmiłowanie.

Co się dzieje?!

— Święta Matko — drżała cichym echem ciemność — Święta Matko — mieszało się z zawodzeniem wiatru, który znów dął coraz silniej — Święta Matko — rosło wołanie coraz głośniejsze i bardziej rozdzierające pośród szumu ulewy.

Tygrysim skokiem naskoczyło na nią nowe przerażenie.

— Najświętsza Panienko! — zawyła, oszalała ze zgrozy.

Ale to nie był sam tylko strach. Przyłączył się do niego głęboki, straszliwy ból i zatargał brzuchem, ściągając jelitą ku dołowi. Amelia zamilkła na chwilę, umęczona. Wargi nie nadążały za uciekającym powietrzem. Dusiła się...

Wyrwała z siebie ostry krzyk, stokroć silniejszy od niej samej i zaraz potem posłyszała szept spoza drzwi: — Tutaj jest...

Jakieś ciało uderzyło w drzwi, jak ołowiany kloc. Drzewo zatrzeszczało, ale nie ustąpiło.

— Noo!

To już nie było tylko jedno ciało, ale napór ciał kilkorga ludzi, których ciężar wprawiał w drganie ścianę. Wreszcie zatknięta gwoździem drewniana zasuwka odskoczyła.

— Stary, światło!

— Leży. Zemdlała?

— Tak. Daj świecę.

Wśród milczenia, jakie nastąpiło, dwa czy trzy noże zostały wsunięte do pochew, a José Maria nachylił się nad rozciągniętą na ziemi, twarzą do góry, Amelią. Koszula podniosła się jej odsłaniając nogi do kolan, a u góry z głębokiego wykroju wyłoniła się wezbrana mlekiem pierś.

— Brzemienna! — zauważył. I zaczął jej się przyglądać z daleka.

— A tak? Naprawdę!

Rozpychali się, aby jej się dobrze przyjrzeć.

Za oknem niebo szalało. Ogniste węże kąsały obłoki, jak gdyby przebijały sobie drogę ucieczki przed nadchodzącymi w ślad za nimi grzmotami.

Wszyscy trzej siedzieli w kucki, zapatrzeni w leżącą, gdy splamiona krwią ręka Rengo wyciągnęła się, aby bezwstydnym gestem podnieść koszulę leżącej kobiety. Ale żylaste ramię José Maria również okrwawione, dosięgło na chwilę przedtem głowy barbarzyńcy i obaliło go na łopatki.

— Ty świńskie nasienie! — zawołał „wódz" i rzucił się na niego.

Dwaj kompani unieruchomili winnego. A potem obok pozostałych przy nim kompanów Rengo stał z oczami utkwionymi w tajemniczą postać, zamykającą w sobie kiełkujące nowe życie.

Był jak osłupiały. W tej chwili nie zajmowało go właściwie nic określonego, a tylko kotłowały mu się w mózgu jakieś myśli, krążące wokół tego wzdętego brzucha, wstrząsanego jękami. Wydawało mu się, że śni jakiś dziwny sen, bogaty w dźwięki, nie w obrazy, sen, w którym krążyły strzępki słów.

Z zaciśniętych kurczowo ust kobiety wydarł się jęk.

— Aj, trzeba ją przywrócić do zmysłów — powiedział stary. Tak dłużej być nie może. Połóżmy jej przynajmniej mokrą szmatkę na czoło.

— Tak, tak mokrą szmatkę... — zgodził się José Maria nie ruszając się z miejsca.

Błyskawica jaskrawo oświetliła izbę, a zaraz potem rozległ się grzmot. Stary wziął z umywalni ręcznik, zamoczył go w misce z wodą i zaczął wykręcać przed lustrem. Spojrzał niechcący w lustro i widać zauważył coś szczególnego, bo znowu zaczął się przyglądać z bliska przylepiając prawie twarz do szkła.

— Ale miał pazury nieboszczyk! — wyrzekł spostrzegając dwa głębokie zadrapania. I nachylił się nad Amelią.

Coś mu nagle przyszło do głowy. Wstał z ręcznikiem w ręce i, jak gdyby myślał o tym już dawno, rozkazał:

— No, połóżcie ją wreszcie do łóżka! Nie rozumiecie sami, że trzeba ją położyć do łóżka?!

José Maria podsunął jedno ramię pod plecy kobiety, drugie pod kolana i uniósł ją z ziemi. Amelia jęknęła głośno.

Kleisty płyn moczył jej uda.

— Przynieście miskę — udawał doktora stary. — Ręcznik ma być zawsze mokry i chłodny, inaczej to nic nie pomaga. Ej, kumo, zobaczycie, że zaraz wam będzie lepiej... No i co? Jak tam?

Trzej mężczyźni przykucnięci wokół łóżka szukali na twarzy nieszczęśliwej oznak polepszenia.

Kobieta znów zaczęła jęczeć. Jej dłonie rozwarły się jak najszerzej na brzuchu, jak gdyby starały się bronić błądzącego w ciemnościach omdlenia ciałka swego dziecka...

— Wyjdźcie no na dwór zobaczyć, czy nas tu nikt nie szpieguje — rozkazał José Maria, wyrywając się z otępienia.

Posłuchali go. Szli szybko, deszcz padał. Byli już w podwórzu, gdy wódz dogonił ich, aby dodać:

— Obejrzyjcie konie. A ty, Rengo, przyprowadź tutaj twego konia.

Wydawało się, że ciemności nocy były śmiertelnie głodne, gdyż pożerały natychmiast wszystkie błyskawicie. A gdy za błyskiem przychodził grzmot, jego huczące echo na próżno krążyło po niebie w poszukiwaniu błyskawic. José Maria powrócił do pełnego jęków pokoju.

— Ale to się nie tak robi! Wcale nie tak! — zawołał na widok ociekającej wodą twarzy Amelii, jej mokrych ramion i poduszki.

— Ty mnie chcesz uczyć!

— Zostaw ją teraz w spokoju! Patrz, przychodzi do siebie!

Była to prawda. Rozszerzonymi oczyma, spojrzeniem błądzącym tylko po powierzchni najbliższych przedmiotów, Amelia przyglądała się nieznajomym. Nie wiedziała już nic o tym, co się przedtem wydarzyło. Nie pamiętała ani rozpaczliwego krzyku umierającego, ani słów „jest tutaj", które były wyrokiem na nią, ani wywalonych drzwi. Wiedziała teraz tylko tyle, że w jej sypialni były teraz jakieś dwie dziwaczne osoby, które nie wiadomo skąd się wzięły — zresztą nie myślała już o nich wcale, gdyż z jej ciała zaczęło wydobywać się dziecko.

Dwaj mężczyźni cofnęli się, jak odepchnięci silną, niewidzialną dłonią.

Blady płomyk świecy przylepionej do umywalni drżąc przyglądał się w lustrze i blask jego padał na łóżko udzielając młodej matce odrobiny ciepła. Kobieta leżała z rozrzuconymi nogami, to wyprężając się to kurcząc nagle, z powiekami zaciśniętymi ze strachu przed bólem. Czasami wyciągała sztywno nogi rozpaczliwym gestem odwagi i wtedy w twardych jak szpony, palcach gniotła i zaciskała brzeg prześcieradła. Od czasu do czasu unosiła się na łokciach i piętach, to znów opadała na poduszki zupełnie wyczerpana aż do nowego ataku bólu, który podrzucał ją na posłaniu.

Czas mijał. Błyskawice zmagały się z grzmotami. W kącie pokoju, oświetlonym tylko błyskami jasności z nieba, dwaj mężczyźni zapatrzeni w przestrzeń, trwali nieruchomo. W pamięci Joségo Maria krzyżowały się stare wspomnienia i tylko powtarzające się coraz jęki przywracały go do przytomności.

— Mama... Ja nie znałem mojej matki — myślał nie zdając sobie sprawy, że te myśli są nowe w jego życiu. — Moja matka podrzuciła mnie na fermie — powtarzał sobie wciąż, jak gdyby się przed kimś usprawiedliwiał...

Odwrócił się na szmer szeptu i zobaczył starego z oczyma utkwionymi w sufit i szepcącego modlitwy.

✦

Pościel nasiąkała krwią. Kobieta jęczała coraz głośniej i coraz częściej jej ciało sprężało się i rozprężało. Pot zmieszany ze łzami spływał po jej twarzy, pokrytej żółtawą bladością księżycowej tarczy.

Nagle Amelia zdołała uchwycić ciałko swego dziecko i pomagała mu, jak mogła...

Po chwili stary przestał się modlić i biegiem uciekł z kąta pokoju.

— Zemdlała!

— Tak... Ale patrz — dziewczynka!

Stary przybliżył się ostrożnie wystrzegając się dotknąć ciała noworodka i starał się nadać swemu głosowi najłagodniejsze brzmienie, gdy nieśmiało zaseplenił:

— Będzie jedna panna więcej we wsi... I co panienka porabia? Jak się mamy?

Do huków z nieba domieszały się słabe westchnienia.

— Córuchna! Córuś! Nie bójże się! — trajkotał dalej stary, trzymając niezdecydowaną dłoń blisko okrwawionej twarzyczki. Nie bój się! My cię bardzo kochamy, my jesteśmy ludzie do...

Chciał powiedzieć „dobrzy", ale zająknął się i zamilkł. I wyprostował się tak nagle, jak gdyby ktoś mu położył na czole lodowatą dłoń i uniósł głowę ku górze.

— Ach, ty stracnajło, strachajło — powtarzał w roztargnieniu, aby tylko coś mówić.

— No, odchodzimy — zabrzmiał głos José Maria, który już odzyskał panowanie nad sobą.

— A tę niewinną duszyczkę tu tak zostawimy?

— Idziemy! — zahuczał głos już we drzwiach.

Stary poszedł za nim ze spuszczoną głową.

Na podwórzu zakłapały buty.

— Czy teraz zawiadomimy jakiegoś sąsiada? — spytał cichutko stary Joségo.

— No chyba. Też o tym pomyślałem — odpowiedział José, chociaż to nie była prawda. — Bo gdyby nikt nie przyszedł, to rozumiesz, że...

— No chyba!

Gdy przybyli do grupy drzew ombu, czekali już na nich kompani z osiodłanymi końmi.

— Ty, Rengo jesteś dobrze ubrany i ciebie tu nikt nie zna, więc oddzielisz się od nas, gdy będziemy przejeżdżali obok chałupy rodziny Banegas i powiesz, żeby przyjechali tutaj jakąś kobietę, bo ona już rodzi.

Dosiedli koni i odjechali.

Obok wyznaczonego miejsca José Maria polecił:

— Popędź konia, żeby nas świt nie złapał przed górami!

III

Smutny, bezsłoneczny dzień miał się ku końcowi, gdy w górach Arazati zbójnicy popijali mate. Śmieli się, rzucali sprośne żarty na temat przeżyć ubiegłej nocy, opowiadali tłuste dowcipy...

Ale w głębi duszy żaden z nich nie był zadowolony z siebie. I żaden nie wspomniał o pieniądzach, które były celem wyprawy do domu ciężarnej kobiety.

Francisco Espinola

Przełożyła **Zofia Szleyen**

Enrique AMORIM jest autorem kilku zbiorów poezji i sześciu tomów powieści, z których trzy („La carretta" — Taczki, „El paysano Aguilar" — Wieśniak Aguilar i „El caballo y su sombra" — Koń i jego cień) stanowią trylogię, przetłumaczoną już na kilka języków (francuski, niemiecki, angielski, włoski, portugalski). Ta trylogia, jak i większość jego powieści osnuta jest na tle skomplikowanej problematyki wsi urugwajskiej, a raczej stepów urugwajskich, na których wypasają się olbrzymie stada należące do feodalnych właścicieli ziemskich. Z tej nieuprawnej ziemi ciągną kolosalne zyski panowie feodalni, zatrudniający bardzo mało rąk roboczych. Rola uprawna i pług są w tych warunkach symbolami postępu i wyzwolenia chłopa. Powieść „Koń i jego cień" ukazują nam kolonię cudzoziemskich rolników wśród których jest znaczna ilość polskich Żydów. Akcja ostatniej wydanej powieści tego autora, „Dziewięć księżyców nad Neuquen" — toczy się w argentyńskim obozie koncentracyjnym dla komunistów.

Obecnie Enrique Amorim wykańcza zbiór autobiograficznych nowel „Groteski z Colinas" (Colinas, to nazwa zastępcza El Salto, gdzie mieszka Amorim).

Francisco ESPINOLA napisał wiele nowel, z których część tylko została wydana. Prace Espinoli stanowią w literaturze urugwajskiej reakcję przeciwko łatwemu i powierzchownemu ujmowaniu wsi od strony malowniczej sielankowości, autor stara się pogłębić zagadnienia życia wiejskiego, szukając w nich pierwiastków uniwersalnych. Z utworów Espinoli promieniuje miłość do prostego człowieka, do wydziedziczonych i nieszczęśliwych („Sombras sobre la tierra" — Cienie na ziemi). Z realizmem do jego czasów nieznanym (pierwszy zbiór nowel pisze w 1923 roku jako dwudziestotrzyletni młodzieniec) opisuje istoty zdeformowane moralnie przez wadliwy ustrój społeczny, które zachowując mimo to cechy szlachetności często głęboko ukryte, tym dobitniej ukazują niesprawiedliwość ich rozpaczliwego losu. Nowela Francisco Espinoli, którą podaje w przekładzie polskim należy do zbioru „Raza Ciega". Książka ta osiągnęła wyjątkowy sukces.

Obecnie Franciszek Espinola, profesor literatury na uniwersytecie w Montevideo kończy powieść „Don Juan el Zorro" — „Lis Don Juan", opartą na motywach baśniowych urugwajskiego folkloru.

ZOFIA SZLEYEN

IGNACY ROBB (NARBUTT)

rysunki MARKA RUDNICKIEGO

RZEKA NADZIEI

(Między urojeniem a rzeczywistością)

Niech choć jeden zmarły nagle powstanie
W obliczu naszej pamięci
A będziemy żyli przeciw śmierci
Bili się przeciw wojnie

Walczyli o życie

Paul Eluard

ODRA

Od bramy Morawskiej przez Śląsk i Pomorze płynie Odra do Szczecina.

W roku 1944, gdy płonęła Warszawa, generał Ditmar mówił o tej rzece:

„Rzesza, jak linoskoczek, balansuje na linie. Każde pośliznięcie prowadzi do upadku. Liną tą jest Odra".

9 maja 1945, gdy podpisywano akt kapitulacji Rzeszy, Wrocław dogorywał.

25 sierpnia 1948 do miasta tego zjechali przedstawiciele 45 narodów.

Pod mostami wrocławskimi płynęły barki z ładunkami do Szczecina. Marynarze kopcili fajki i śmieli się do rzeki, żartowali z dziewczętami stojącymi na brzegu.

Odra stała się rzeką nadziei w walce o pokój.

PAMIĘTNIK EMMY JUNGMANN

Starszy lejtnant Iwan Arbuzow, po wkroczeniu do miasta znalazł w ruinach szpitala na der SA Alee pamiętnik lekarki Emmy Jungmann.

Iwan Arbuzow był z zawodu hydraulikiem i urodził się w Smoleńsku.

5. VII. 1944

Z Berlina przyjechał nasz wujek Herman. Miasto jest w opłakanym stanie. Alianci zbombardowali filtry i odczuwa się brak wody. Powiada, że w porównaniu z północą kraju to są jeszcze niewielkie kłopoty. Tam dopiero super-fortece pokazują klasę. Pytam o naszą kuzynkę Gertrudę, mieszkającą na Aleksanderplatz. Wyjechała z dziećmi na wieś. Do Berlina nie ma po co wracać.

11. VII.

Ciepły, słoneczny dzień. W szpitalu brak lekarstw. Medykamenty wciąż drożeją, można je dostać tylko na czarnym rynku.

Doktór Heiss mówił o Warszawie. Zniszczenie tego miasta uważa za zbrodnię ustępującą tylko zagładzie Żydów. Dziś powiedział do siostry przełożonej Feldke: „Pani się tylko modli, a to i tak g.... pomoże".

Wieczorem dużo myślałam o moim Igo. Gdy był chłopcem kupowałam mu książki Karola Maya. Tak pragnął podróżować. Czy w swej ostatniej wędrówce do krainy mgieł myślał o swej matce?

Luiza wstąpiła do Volksturmu. Jeździ na ciężarówce. Boże, daj choć jej ocaleć.

15. VII.

O Luizie nic nie wiem. Trudno o kawę. Doktór Heiss nie liczy się zupełnie z tym co mówi. Uważa, że w Berlinie zawsze siedzieli głupcy. Podobno Rosjanie znajdują się w Gdańsku. Czy jest choć odrobina nadziei na pokój?

26. VIII.

W ciągu trzech godzin Rosjanie bombardowali miasto. Znosiliśmy chorych do schronów. Podobno został zabity prezydent miasta. Doktór Heiss powiada, że o jednego psa mniej. Za rozsiewanie fałszywych pogłosek zostało powieszonych dwóch robotników. O Luizie nic nie wiem.

10. II. 1945

W Berlinie przyznali się do strat. To przechodzi ludzkie pojęcie. Mówią, że on zwariował. Czyżby to było możliwe? Alianci bombardowali Berlin siedem godzin. Twierdzą, że Wrocław będzie ewakuowany.

Major Fabricius z chirurgii zapytał dziś doktora Heissa, czy nie otrzymał nakazu ewakuacji szpitala. Heiss odpowiedział: „Niech pan zapyta swoich przełożonych z partii".

Fabricius na to: „Zawsze wiedziałem, że pan profesor to świnia, ale nie spodziewałem się, że będzie pan hieną".

3.III.

Znów rozstrzelali dziesięcioro ludzi. Wśród nich dwie kobiety. Słuchały radia z Moskwy. Od Luizy otrzymałam list. Znajduje się pod Krakowem. Siostra Feldke przestała wierzyć w możliwość wyjścia z tej awantury. Gdy jej pokazałam list od Luizy rzekła: „Dziewczęta nie nadrobią głupoty mężczyzn". Strasznie brudno u nas w szpitalu. Doktór Fabricius uciekł z rodziną.

12.IV.

To co się dzieje w mieście trudne do opisania. Rosjanie są podobno w Berlinie. Wrocław jest twierdzą. Nie ma sił na przetrzymanie tego. Doktór Heiss wczoraj mnie zapytał: „A czy myśmy, droga pani, nie niszczyli wszystkiego od Warty do Wołgi i od Renu do Atlantyku?".

Gdzie moja Luiza? Żeby choć ona to przetrzymała. Mówią, że on zastrzelił podobno Goeringa. Chorzy proszą o życie. Ja modlę się o śmierć.

15.V.

Ukazało się zarządzenie o oszczędzaniu wody. Z tym samym powodzeniem można by wydać zarządzenie o oszczędzaniu chleba. Doktór Heiss kazał wykopać studnię w piwnicy. Pieczemy chleb z płatków owsianych. Niechby już dali spokój z obroną tego miasta. To nie do wytrzymania.

3.V.

Pięciogodzinny nalot. Już od trzech tygodni nie rozbieram się. Dobrze, że Luizy nie ma z nami. Czy ona żyje? Doktór Heiss powiedział mi wczoraj, że jesteśmy ostatnim miastem Rzeszy, które jeszcze nie skapitulowało. Nie uważa on tego za honor, a za głupotę, powiedział: „Czerwoni w tej wojnie mają rację".

Z siostrą Feldke pokłócił się ranny żołnierz. Domagał się jedzenia. W złości powiedziała mu siostra: „Pan by człowieka mógł zjeść". Na to jej odrzekł spokojnie: „Gdy byliśmy w okrążeniu pod Brianskiem jedliśmy trupy. To wcale niezłe!".

Starszy lejtnant Iwan Arbuzow w czasie nalotu stracił rodzinę w Smoleńsku. Brat jego poległ pod Stalingradem. Szwagier na froncie wołkowyskim. Żona jego Nadieżda została zmobilizowana do przyfrontowej służby kolejowej. W ciągu dwóch lat nie otrzymuje od niej listu. Gdy czytał pamiętnik Emmy Jungmann, powiedział: „Faszyzm".

Dla niego, jak i dla milionów ludzi, to słowo było równoznaczne ze słowem wojna.

LUDZKA SKÓRA

Słowa o równości i braterstwie niosła onego dnia Odra do Bałtyku. Z morza płynęły sztormem na oceany. Oceanami na Yan - Tse - Kiang i do Missisipi, do Gangesu i Jordanu.

W prostokątnej kabinie uwieszoszonej między niebem a Odrą cierpliwy ksiądz Boulier wiódł dyskurs z amerykańskim aniołem żującym Beeman's pepsingum. Anioł miał stalowy hełm na głowie i skrzydła z nylonu.

— Powiadasz mój aniele — mówił ksiądz — że to Stwórca stworzył czarnego człowieka.

— O key! Tylko, że czarny człowiek , którego Pan stworzył, został brudnym bratem białego człowieka.

Amerykański anioł opowiadał księdzu Boulier amerykańską historię o powstaniu czarnego człowieka. „Noe — mówił — mąż sprawiedliwy spłodził niegdyś trzech synów: Sema, Chama i Jafeta. Jafet był wyrodnym synem Noego. Nie chciał myć gnuśnego ciała w dobrotliwej rzece. I nie chciał pracować.

Całe dnie spędzał pod drzewem i żywił się bananami. I stawał się brudniejszy od gadziny. Noe wygnał z domu syna swego Jafeta. I z brudnego Jafeta wziął się ród czarnych ludzi, ród „sentymentalnych próżniaków". Wysłuchawszy to uważnie ksiądz Boulier opowiedział amerykańskiemu aniołowi historię, którą słyszał niegdyś od czarnego dominikanina z San Francisco.

Czarny ojciec Samuel historię narodzin białego człowieka opowiadał tak:

„Noe — mąż sprawiedliwy spłodził niegdyś trzech synów: Sema, Chama i Jafeta. Jafet był wyrodnym synem Noego. Usta jego nie rozbrzmiewały śpiewem i nie grał na banjo. Nie umiał cieszyć się życiem. Był tak leniwy, że nie sięgał nawet po banany. Będąc z natury silny zmuszał braci do pracy. Sam zaś zanosił na nich skargi do ojca.

Któregoś dnia namówili się starsi bracia. Znaleźli śpiącego pod drzewem Jafeta i zdarli z niego skórę. I tak powstał ród białego człowieka, ród zarozumiałych próżniaków".

Amerykański anioł w stalowym hełmie i ze skrzydłami z nylonu wypluł ze złością gumę do żucia (Peeman's pepsingum), namyślił się długo i po pewnym czasie:

— W dniu 6 sierpnia 1945 szybował samolot US-Navy. Na pokładzie bombowca był czarny pilot z Virginii. Biali ludzie wraz z czarnym człowiekiem rzucili bombę atomową na Hiroschimę. Na miasto żółtych ludzi, którzy byli wrogami USA.

Na to ksiądz Boulier:

— W albumie Pablo Picassa na czarnym tle białe kreski: ludzka głowa.

I biel, mój aniele, też jest kolorem.

Człowiek służący bożkowi wojny bez względu na skórę zawsze jest człowiekiem kolorowym —

KONFRONTACJE

Dla zgorzkniałego Puka naszej epoki, cynicznego kronikarza wielkiego i pokłóconego świata, zwołanie kongresu pokojowego w trzy lata po zakończeniu działań wojennych wydaje się rzeczą co najmniej dziwną.

Puk jest odziany w czarno - biały strój pierrota i kroczy jak cień za J. Huxleyem.

Oto kurytna idzie w górę. Światło.

Puk (staje przed stołem prezydialnym):

— Chciałbym na dzisiejszym kongresie przedstawić wam paru ludzi. Źle się wyraziłem. Byłych ludzi. Nie zostali zaproszeni na obecny kongres, a szkoda. Niewątpliwie was zainteresują. Ten oto za mną to Wsiewołod Arbuzow, czerwonoarmista poległy pod Stalingradem. Obok niego Tom Jackson, oficer Rafu, zestrzelony nad Ludwigshafen, ten z fajką to Mac O'Bary, żołnierz amerykański poległy na Pacyfiku. Ta pani to doktór Emma Jungmann. Mogę jeszcze zaprosić Polaków i Fracuzów, Kanadyjczyków i Włochów, Niemców i Japończyków, czarnych Senegalczyków i pergaminowych Vietnamczyków...

J. Huxley (przerywa):

— Nie sądzę, by to było potrzebne. Aż tylu naraz.

A. J. Taylor (zrywając się z miejsca):

— Cóż za metody! My wiemy, że w tej wojnie poległo trzydzieściosiedem milionów ludzi. Po cóż te obrzydliwości. Przypominać to...

Puk (chichocząc):

— Już się zaczyna.

A. J. Taylor (zwracając się do Huxleya):

— Z tymi trupami to znane chwyty czerwonych.

J. B. Haldane:

— To myśmy słyszeli już nieraz o tych chwytach, jak pan to nazywa. W ciągu pięciu lat wojny nauka brytyjska pracowała dla zwysięstwa. Myśmy dali armii radar i działa rakietowe, silnik Vickersa o szybkości 800 mil na godzinę, rannym daliśmy penicylinę, miastom schrony betonowe. Mówili nam: po zwycięstwie nad nazistami spokój będzie zapewniony.

Ilja Erenburg:

— Dziś zamiast pokoju domagają się od was broni atomowej, więcej i lepszych bomb atomowych.

J. B. Haldane:

— Tak, nauka zwyciężająca została zwyciężona.

A. J. Taylor:

— Po to, żeby zwyciężyć czerwonych.

Ilja Erenburg:

— Po to, żeby prosperowało Wall Street i City.

A. J. Taylor:

— Po to, by powstał rząd światowy.

I. Curie:

— Hitler uważał, że wojna uszlachetnia ludzi, Forestall mówi to samo. Siedemdziesiąt pięć procent budżetu amerykańskiego idzie na zbrojenia.

B. J. Howde:

— A plan Marshalla? Czyż to nie jest wielki akt dobroczynności dla Europy zniszczonej przez wojnę?

Ilja Erenburg:

— Kongresman John Varris powiedział, że zadaniem planu Marshalla jest udzielenie pomocy tym krajom, które mogą wystawić stoczterdywizje wojska przeciwko wschodowi.

J. B. Haldane:

— John Varris mówił to, o czym trudno jest mówić departamentowi Stanów.

J. Huxley (dzwoni).

— Proszę o spokój. Udzielam głosu panu B. J. Howde.

B. J. Howde:

— Któż zaprosił tych dwóch truposzów? Jeżeli są, niech zabiorą głos. Powiedzą, sądzę, o niepodzielnych zaświatach, tak jak niepodzielnym jest ten świat. Niech każdy z naszych narodów zrzeknie się cząstki swej suwerenności dla wspólnej sprawy.

J. Amado:

— Mówi pan, panie Howde, o wyrzeczeniu się cząstki swej niepodległości. Należę do narodu, który pod naciskiem pańskiego kraju zrzekł się niemałej cząstki. Dziennikarze, którzy przeciwko temu protestowali, zostali na bruku. Nasi studenci studują w więzieniach, nasi farmerzy giną z chorób i głodu. Brazylia to Włochy Ameryki. Dlatego rozumiemy cierpienie i walkę.

Ilja Erenburg:

— Hiszpanię i Grecję.

J. Huxley:

— Proszę o spokój.

Wsiewołod Arbuzow:

— Proszę o głos.

A. J. Taylor:

— Umarli muszą milczeć!

J. B. Haldane:

— Umarli muszą krzyczeć!

J. Huxley:

— Proszę nie przerywać. Głos ma Wsiewołod Arbuzow.

Wsiewołod Arbuzow:

— Przyszedłem do was spod Stalingradu. W ciągu sześciu lat przyszłem na to spotkanie. Gdy padłem miałem lat dziewiętnaście. Mój brat pomścił mnie. Poszedł na Berlin. Zdobywał Wrocław. Moi bracia mnie pomścili. Zdruzgotali faszyzm. Mówię w imieniu poległych w tej wojnie. Mam do tego prawo, gdyż mój naród ma ich najwięcej. Lecz mówię również w imieniu poległych innych narodów, którzy padli w walce z faszyzmem. W imieniu białych, żółtych i czarnych. Mam prawo w ich imieniu przemawiać, gdyż jestem stalingradczykiem i Stalingrad stał się symbolem w tej wojnie.

Puk (notując, szybko, przybiega do Arbuzowa).

Tom Jackson (do Puka):

— Jak się masz, chłopcze.

Doktór Emma Jungmann (do Puka):

— Nie widział pan gdzieś mojej Luizy?

A. J. Taylor (do Arbuzowa):

— Zazdrościsz nam żywym. Chcesz wojny!

B. J. Howde:

— Zazdrościsz nam żywym. Chcesz wojny. Nie martw się, jest bomba atomowa.

A. J. Taylor:

— Samoloty rakietowe.

Tom Jackson (niecierpliwie):

— Dajcie mu mówić.

(J. Huxley dzwoni).

Wsiewołod Arbuzow:

— Myśmy polegli nie po to, by znów miały ginąć miliony istnień ludzkich. Myśmy polegli po to, by siostry nasze i bracia nasi mogli żyć. W imieniu poległych wzywam was do walki o życie.

Tom Jackson (powtarza):

— Do walki o życie!

Emma Jungmann (powtarza):

— Do walki o życie.

J. Huxley:

— Pański czas, panie Arbuzow, przeminął, miał pan dziesięć minut czasu.

A. J. Taylor (zwijając papiery):

— Propaganda. (wychodzi).

B. J. Howde (zwijając papiery).

— Propaganda! (wychodzi).

Puk (koziołkując, wybiega. Słychać jego śmiech):

— Ha! ha! ha!

(Kurtyna).

Ignacy Robb (Narbutt)

PRZEWODNIK BIBLIOGRAFICZNY

urzędowy wykaz druków

wydanych w Rzeczypospolitej Polskiej i poloników zagranicznych, wychodzi regularnie od stycznia b. r. co tydzień nakładem **Biblioteki Narodowej.**

Podaje w układzie działowym spis nowości wydawniczych

Ułatwia nabywanie książek

Jest niezbędny w każdej bibliotece i w ręku wszystkich interesujących się ruchem wydawniczym.

Prenumerata roczna zł 1600 — wyłącznie na konto czekowe PKO-I 7119.

RABATU KSIĘGARSKIEGO NIE UDZIELA SIĘ

Administracja: Biblioteka Narodowa. Warszawa, ul. Hakowiecka 6, telefon 405 - 43.

JERZY EUGENIUSZ PŁOMIEŃSKI

POCHODZENIE KLASOWE A POSTĘP W LITERATURZE

Zamieszczając artykuł Jerzego Płomieńskiego, redakcja „Odrodzenia" wyraża nadzieję, że poruszone przezeń istotne zagadnienie wywoła ożywioną polemikę, tym bardziej, że artykuł nie zawsze, zdaniem redakcji, zawiera słuszne poglądy

Na łamach „Warszawy" w Nr. 6 b.r. pojawił się artykuł dyskusyjny p.t. „O społecznym sensie powojennej literatury", pióra M. Piechala. Artykuł ten poza wzmianką w „Kuźnicy", nie wywołał rzeczowej dyskusji. A szkoda. Jest bowiem naładowany ciekawą treścią zagadnieniową, a poza tym zawiera powściągliwy w tonie, ale dotkliwy w sensie akt oskarżenia, skierowany przeciw powojennej literaturze polskiej a dokładniej mówiąc — przeciw jej rzekomym przemianom, które według Piechala są jedynie mistyfikacją przemian. Pozoruje ona rzekomo twórczy rozwój polskiej literatury powojennej, jej niby to dorastanie do nowej rzeczywistości, naprawdę zaś pokrywa, zdaniem krytyka, pustkę społeczną, trwanie w kulcie aspołecznego formalizmu, w fetyszyzmie rzemiosła, w przedłużonym klimacie mieszczańskiego kwietyzmu estetycznego. Artykuł ten nawiązuje mimowoli do przedwojennego ataku K. Irzykowskiego na „Plagiatowy charakter naszych przełomów literackich", na nagminne u nas pasożytnictwo w tej dziedzinie, t.j. uchylanie się od współtwórczych węzłów z europejskimi procesami kultury, które w Polsce kopiowano przeważnie, czyli brano ich gotowe wzory i schematy zagadnieniowe.

Piechal przeprowadza na węższym odcinku, ale z nie mniejszym żarem polemicznym, analizę powojennego charakteru i oblicza literatury polskiej, dochodząc do wniosku, że nie podobna się w niej doszukać znamion przełomu, który by współbrzmiał z nowym rytmem życia społecznego w Polsce współczesnej. Zastanówmy się teraz, czy zarzut Piechala a raczej szereg zarzutów, postawionych przez niego powojennej literaturze polskiej jest słuszny. Postaramy się je przedyskutować z całą lojalnością dla stanowiska autora, ale z nie mniejszą lojalnością dla faktów. Piechal przypisuje krytyce literackiej naczelną funkcję w literaturze współczesnej, uważając ją za czynnik, od którego zależy odrodzenie literatury. Niepodobna się zgodzić na takie stanowisko. Przeczą mu autorytatywne doświadczenia z niwy dziejów literatur.

Tylko bowiem w małych epokach literackich i to dawniej była możliwa taka nadrzędna funkcja krytyki literackiej, która to funkcja skończyła się zresztą bezpowrotnie t.j. kształtowania stylu literatury, stylu jednak nietwórczego, naśladowczego, który pod wyjaławiającym naciskiem tzw. poetyki normatywnej zatracał całkowicie cechy twórczości suwerennej, oryginalnej. Działały w danym wypadku fatalne wpływy antyku, który narzucał twórczości prawa gotowe, niezmienne, przekreślające z góry możliwość jej rozwoju, a które stanowiły równocześnie z gruntu fałszywe narzędzia jej wartościowania. (Poetyka pseudoklasyczna). Ale w naprawdę twórczych epokach literackich funkcja krytyki literackiej ograniczała się głównie do poznawczego systematyzowania zjawisk literackich, do przyspieszania ich społecznej recepcji, która podmiotowe fakty literackie wcielała do inwentarza wartości i dóbr kulturowych społeczeństw. Nigdy natomiast nie wyrażała się w aktach powoływania do życia nowych światów twórczych. Piechal powtarza tu za Irzykowskim, co prawda w formie przeinaczonej nieco, dosyć sporny sąd, polegający niewątpliwie na uroszczeniu, o nadrzędności krytyki literackiej, dla której literatura (według Irzykowskiego) bywała najczęściej pretekstem do wyładowywania zagadnień całkowicie samowystarczalnych, czyli do wyzwalania własnej twórczości myślowej, rządzącej się swoistymi prawami. U Piechala owa nadrzędność krytyki literackiej ma wprawdzie trochę inny, ale pokrewny w pewnej mierze charakter, polega bowiem na kształtowaniu „społecznego sensu literatury". Oto nieporozumienie wstępne, które pociąga za sobą łańcuch dalszych nieporozumień.

Wychodząc z powyższego założenia, Piechal upraszcza również zagadnienie „stylu" literatury, więc jej zawartości problematologicznej i jej wyrazów formalnych, wiążąc to zagadnienie, niezbyt zgodnie z rzeczywistością, z rzekomo kształtotwórczym oddziaływaniem krytyki literackiej. Jeżeli żąda, by krytyka literacka odkłamała „styl" powojennej literatury polskiej z jej kryptomieszczańskiego charakteru, by ona właśnie odkonwencjonalizowała i odrodziła tę literaturę, to wychodzi z jednej strony poza granice możliwości krytyki literackiej, poza jej istotne uprawnienia, a z drugiej nie docenia istoty powstawania procesów literackich. Powstają one bowiem nie jako owoc uprzedniego planowania, zatem nie pod dyktandem jakiejś nadrzędnej instancji, która by im wyznaczała kierunek rozwojowy, ale jako dosyć skomplikowany, zresztą samorodny rezultat szeregu czynników pozaliterackich, jak podłoża historycznego, środowiskowego, gospodarczo-społecznego oraz kulturowego, które określają w sumie ich społeczny ładunek oraz koloryt subiektywny. Mówić więc o organizowaniu literatury i jej stylu, znaczy tracić z oczu jej właściwy, wielowarstwowy rodowód, a przede wszystkim fakt samorodnego powstawania jej twórczych zjawisk. Krytyka literacka jest wprawdzie bardzo doniosłą dziedziną ich intelektualnego wartościowania a zarazem społecznego przyswajania, nie stanowi jednak nadrzędnej instancji w stosunku do literatury. O tym należy pamiętać. Nie chcę tu pomniejszać doniosłości społeczno-intelektualnych zadań krytyki literackiej. Nie należy jednak przesadzać, jak to czynili nieraz u nas St. Brzozowski i K. Irzykowski, których wpływ nie przestał dotąd oddziaływać. Stanowisko Piechala, wymagające szeregu poprawek, jest częściowo oddźwiękiem tego oddziaływania. Niewątpliwie Piechal ma sporo słuszności, gdy mówi o obciążeniu powojennej literatury u nas dziedzictwem międzywojennej atmosfery literackiej, posuwa się jednak w swoich rozważaniach nad przyczyną tego faktu do diagnozy, której nie podobna przyjąć. Przezwyciężenie tego stanu rzeczy, to wyłącznie kwestia czasu, a nie jak sądzi autor wychowawczych zabiegów krytyki literackiej. Zresztą, czy nie zawcześnie jeszcze zastanawiać się już dzisiaj nad obliczem współczesnej literatury polskiej, które zaczyna się zaledwie tworzyć, którego rysy narastają powoli, nie stanowiąc jeszcze ostatecznie skrystalizowanej formacji.

*

Przejdźmy teraz do innych zarzutów Piechala. Dla niego powojenna literatura polska, to przewlekanie panowania mieszczaństwa w kulturze polskiej, wbrew rozkładowi społeczno-historycznemu tej warstwy, której rola kierownicza w życiu polskim skończyła się właściwie, trwając jednak paradoksalnie w literaturze, w postaci według krytyka — obłudnie maskującej istotny stan rzeczy. Zabłąkana tylko przypadkowo w krąg nowego życia polskiego, nie mówi ona niemal nic o jego przeobrażeniach, o jego nowym ustroju, wznawiając przy tym najniepotrzebniej — wbrew rytmowi społecznie rewolucyjnemu — i treściowo i formalnie, tradycje przedwojenne. Krytyk tłumaczy ten fakt dosyć groteskowo, mianowicie brakiem przynależności jej przedstawicieli do warstw społecznych obecnie dopiero uhistorycznionych a do niedawna jeszcze niehistorycznych, tj. do ludu i świata robotniczego. „...materią narodu — mówi Piechal — są dziś masy chłopskie i robotnicze, więc żeby ten naród wyrażać, trzeba go znać, znać masy chłopskie i robotnicze, którą to znajomość nabywa się tylko przez organiczny, że tak powiem, związek z nimi, etniczną (chyba klasową raczej — uwaga moja) do nich przynależność".

Przesada tego nazbyt doktrynerskiego stanowiska uderza w zestawieniu z licznymi faktami, które bynajmniej nie potwierdzają jego słuszności. Trudno je wobec tego przyjąć. Wymowa faktów, nie tylko z terenu życia kultury, przekonywa najdowodniej, że stanowisko to można co najwyżej traktować jako postulat — nierealny zresztą, a nie jako odpowiednik wielotorowych doświadczeń. Nie zapominajmy o tym, że sprawcami ruchów społecznie rewolucyjnych, szermierzami idei postępu, których zbiorowy wysiłek myślowy oraz życiowy doprowadził do współczesnego udziejowienia warstw dotąd niehistorycznych, byli ludzie pochodzenia bynajmniej nie chłopskiego, ani też nie robotniczego, ale właśnie w procencie ilościowo ogromnym ludzie przynależni do warstwy społecznie uprzywilejowanej, względnie do inteligencji pochodzenia mieszczańskiego, od arystokraty angielskiego z doby henrycjańskiej (Henryka VIII), Morusa, wizjonera utopijnego komunizmu, dalej arystokraty francuskiego Saint-Simona, teoretyka prekomunizmu, poprzez encyklopedystów francuskich, poprzez legion innych różnoplemiennych pionierów idei postępowo-demokratycznej, z rosyjskimi dekabrystami, dalej Hercenem, Bakuninem, Krapotkinem i Leninem włącznie. Wymieniam kilka tylko nazwisk; można by zacytować tu jednak niemały materiał statystyczny, który by potwierdził w całej rozciągłości przykładowo nieodpartą bezsporność tego faktu, co przekracza, niestety, ramy niniejszego szkicu. Dla każdego, kto spoufalił się z problematyką i historią ruchów społecznych, są to fakty dobrze znane. U nas najżarliwszymi teoretykami doktryny ludowładztwa sprzed stu laty z górą byli arystokraci z pochodzenia, H. Kamieński, pisujący pod pseudonimem Filareta Prawdowskiego oraz E. Dembowski, obok ludzi mieszczańskiego pochodzenia, jak W. Heltman i inni. Ci polscy prekursorzy współczesnej rzeczywistości naszej, na ogół mało znani społeczeństwu, w badaniach historycznych do niedawna przeoczani, byli nie tylko teoretykami, głoszącymi postulat pełnego odfeudalizowania a zarazem unowocześnienia życia polskiego, ale równocześnie czołowymi ludźmi rewolucyjnego ruchu u nas, walczącymi o całkowite urzeczywistnienie tych idei.

W dziejach polskiego socjalizmu jaśnieją czcigodne nazwiska obok przyjaciela Mazziniego i Hercena, arystokraty, hr. St. Worcella, w kołach rewolucyjno-postępowych Europy otaczanego głęboką czcią, nazwiska ludzi, którzy nie byli pochodzenia chłopskiego ani robotniczego. Nie byli nimi również polscy patriarchowie oraz patronowie haseł postępu H. Kołłątaj, St. Staszic oraz wielki polihistor o światowym nazwisku, J. Lelewel. Rodowód społeczny wcale nie zaważył na ich postawie światopoglądowej. Wbrew sądowi Piechala właśnie dzięki „świadomemu pokrewieństwu z wyboru" stali się budowniczymi dalekosiężnego procesu społeczno-dziejowego, który wymagał tak długiego czasu, zanim z postaci teoretycznej przeobraził się w realny fakt historyczny.

„Świadome powinowactwa z wyboru", które Piechal traktuje lekceważąco i których szczerość wydaje mu się niemniej niesłusznie podejrzaną, należą do nierzadkich zjawisk socjologicznych, kulturowych oraz historycznych. Zaprzeczanie ważkości tych zjawisk, ich realnej rzeczywistości w ogóle, umieszczanie ich w rejestrze oszukańczych fikcji, czy dekoracyjnych pozorów tylko, jak to czyni Piechal — prowadzi do konfliktów z wielokrotnie potwierdzonymi doświadczalnie faktami — przede wszystkim z niwy ruchów społecznych oraz życia kultury. Są to zjawiska międzyplemienne i międzyklasowe, więc powszechne. Powtarzały się i powtarzają w różnych epokach historycznych, w różnych środowiskach narodowych i społecznych, w różnych poza tym nasileniach. Nie faktyczna przynależność do danej warstwy społecznej, czyli nie rodowód społeczny ani nawet narodowy, ale właśnie owe „powinowactwa z wyboru", zatem świadome, głęboko przeżywane autoadaptacje plemienne oraz kulturowe przesądzają o tym, w jakiej klasie socjalnej, w jakim społeczeństwie oraz kulturze narodowej należy umiejscowić danego twórcę, człowieka historycznego, polityka czy nawet tzw. człowieka szarego. To „powinowactwo z wyboru" sprawiło, że potężny premier angielski w epoce wiktoriańskiej, d'Israeli, z pochodzenia Żyd, przez całe swoje życie pozostał poza nawiasem etnicznym żydowstwa, natomiast wkorzenił się i wrósł w etniczną glebę brytyjską i czuł się jedynie Anglikiem. Takie samo „pokrewieństwo z wyboru" uczyniło z wielu austriackich Niemców z pochodzenia, między innymi J. Reitzenheima, wychowanego w atmosferze bezwzględnej wrogości do narodu polskiego oraz W. Pola, wysoce patriotycznych Polaków, którzy polskość swoją zadokumentowali trudem całego swojego życia, z udziałem w powstaniu listopadowym włącznie. W. Pol jest przy tym fenomenem duchowo-plemiennego upodobnienia, wykazującym wyjątkowo przewrażliwione poczucie etnicznej wspólnoty z polskim społeczeństwem, którego psychikę plemienną odtwarzał w ówczesnej epoce, jako poeta z niezwykłym wprost jej wyczuciem, jak mało który z jego współcześników, najrdzenniejszych Polaków. To jeden z licznych dowodów potęgi „powinowactwa z wyboru", które Piechal atakuje, jako komedię pozorów wyłącznie. „Nasi pisarze mieszczańscy uważają — twierdzi Piechal — że skoro się nawrócili na marksizm, tym samym zdobyli automatycznie prawo przemawiania swymi utworami do mas i w imieniu mas, nawet tymi utworami, które skomponowali w okresach innych, wprost przeciwnych często przekonań. Przekonania osobiste, przyobleczone nieraz koniunkturalnie, jak płaszcz na ramiona, utożsamiają mylnie z organiczną przynależnością do danej klasy społecznej, o której decydują o wiele bardziej złożone i subtelne elementy, niż świadome pokrewieństwa z wyboru".

Tymczasem mnóstwo dowodów nie tylko osobniczej, lecz również zbiorowej asymilacji narodowej oraz socjalnej, następstwa powinowactw z wyboru, w dziejach społeczeństwa polskiego, którego struktura jest w związku z powyższym zjawiskiem bliższa charakteru mozaikowego niż monolitowego, przesądza to zagadnienie nieodwołalnie w sensie zupełnie realnej. wielokierunkowej dynamiki XVIII-wieczny ruch frankistowski w Polsce (epoka Stanisława Augusta) posiadał również dosyć typowy charakter takiego żywiołowego procesu zbiorowej mimikry narodowej. Historia polskiej emigracji notuje rzadkie co prawda, ale tragiczne, arcyznamienne dla psychologa kultury oraz socjologa przypadki emigracji polskiej elity twórczej na tle bezdziejowych warunków głównie. Przedstawiciele tej emigracji twórczej rozstawali się z polskością, by na podstawie „pokrewieństwa z wyboru" wkorzenić się w nową Ojczyznę. Niektórzy z nich stali się następnie chlubą piśmiennictwa nowo - przybranej ojczyzny. Tu wypada wymienić przede wszystkim J. Conrada - Korzeniowskiego, który zrezygnowawszy dobrowolnie z polskości, wszedł do społeczeństwa angielskiego i został jednym z tytanów jego literatury. W ogóle polski wkład etniczny do kultury światowej, związany ze zjawiskiem emigracji twórczej, jest niemały. Ze u źródeł tego zjawiska tkwiły przeważnie „pokrewieństwa z wyboru" jako motoryczny czynnik sprawczy, nie da się zaprzeczyć. Ów polski wkład plemienny ogarniał poza angielską również kulturę francuską, rosyjską, niemiecką. Znane w kulturze francuskiej nazwiska Kostrowickiego - Apollinaire'a*), Charl. Edmonda (E. Chojeckiego), J. Klaczki, należącego zarówno do piśmiennictwa francuskiego, jak i polskiego, K. Waliszewskiego, wybitnego historyka francuskiego (pokłóconego z polskim społeczeństwem), monografisty Katarzyny II, tłumaczonego na szereg języków, oraz w kulturze rosyjskiej — nazwiska znakomitego orientalisty i publicysty, Sękowskiego — wymieniam przygodne tylko nazwiska — świadczą dostatecznie o polskim wkładzie etnicznym do kultury europejskiej. Zagadnienie to, poruszane dotąd zazwyczaj dorywczo, czeka na wyczerpującą monografię.

Widzimy więc, jak daleko sięgają nieraz konsekwencje „powinowactw z wyboru", które obejmują dziedzinę zarówno życia kultury, ruchów społecznych, dziejotwórczego promieniowania, oraz życia społeczno-narodowego. Być może, że Piechala nie zadowoli powyższy materiał przykładowy, być może, że doszuka się on w nim punktów słabych, może rzekomej niewspółmierności z klasowym kątem widzenia, który stanowi dla niego sprawdzian istotnych kwalifikacji oraz uprawnień twórcy do artystycznego kształtowania nowej rzeczywistości polskiej. Postaramy się zatem rozpatrzyć zagadnienie to również z tego stanowiska, na odcinku literatury oraz kultury. Że rodowód społeczny nie przesądza bynajmniej o jakości postawy intelektualno-światopoglądowej, jak rodowód etniczny nie przesądza również o przynależności narodowej pisarza, czy człowieka historycznego, uzasadniliśmy to wyżej. Sprawdzalność tego faktu na materiale doświadczalnym z terenu literatury i kultury — nie powinna nasuwać wątpliwości. Weźmy dla przykładu Klemensa Janickiego, znakomitego poetę polskiego wczesnego renesansu, cenionego wysoko w ówczesnej Europie, wprawdzie jednak syna pańszczyźnianego chłopa, przedstawiciela elity kulturalnej i jej wyraziciela w swojej twórczości, który nie zajmował się wcale problematyką ludową i nie miał dla niej żadnych zainteresowań. Na nim można prześledzić ogromny awans społeczny twórcy, który zdobywa dla niego epoka renesansu, stawiając go na stanowisku klasowo - eksterytorialnym. Ale owa eksterytorialność była równoznaczna z faktem pośredniej elitaryzacji społecznej twórcy, niezależnie od jego społecznego rodowodu. O ileż bliższa była jednak problematyka chłopska XVI-wiecznym pisarzom pochodzenia szlacheckiego, którzy reprezentowali wtedy w kulturze polskiej awangardę postępu i nowoczesności społecznej, mianowicie M. Rejowi i A. Modrzewskiemu, niż poecie chłopskiego pochodzenia Janickiemu.

Sięgnijmy teraz do bliższego i najbliższego nam okresu. Epoka pozytywistyczna, chociaż nie tylko pozytywistyczna, przekonywa szczegółnie autorytatywnie, że nie rodowód społeczny, ale przede wszystkim „powinowactwa z wyboru" uprawniają twórcę do dotrzymywania kroku — pochodowi czasu. To ta epoka odkryła w literaturze polskiej chłopa i chłopską zbiorowość, jako formację społeczną; to ona sygnalizowała olbrzymią jej energię biologiczną, marnującą się w postaci potencjalnej, nie ukrywając zresztą ponurego stanu ówczesnego życia ludowego oraz ujemnych stron psychiki chłopskiej. W długo trwającym, bardzo powolnym procesie uhistoryczniania chłopa niemało zaważyli znakomici pisarze doby pozytywistycznej oraz naturalistycznej, jak Orzeszkowa, Prus, Dygasiński i St. Witkiewicz (ojciec), którzy pomimo pochodzenia nie chłopskiego, więc mimo, że z życiem ludowym nie łączyły ich „organiczne" węzły klasowe, wentylowali jego zagadnienia oraz przemiany ludowej psychiki, swą postawą głęboko humanistyczną przecząc kategorycznie stanowisku Piechala.

Nie zapominajmy o tym, że ludomania, której kilka etapów dałoby się wyróżnić w naszym piśmiennictwie teoretycznym oraz w literaturze polskiej, nawet w swoich najwyższych nasileniach, jak w dobie pozytywistycznej, dalej w graniczącej z nią powrotnej fali doktryny ludowładztwa głoszonej na łamach warszawskiego „Głosu" (M. Bohusz, J. L. Popławski), wreszcie w epoce „Wesela" Wyspiańskiego („Młoda Polska"), zanim przekształciła się w orientację polityczną, rozporządzającą potężną partią, wpływami w parlamencie austriackim oraz własnymi organami prasowymi, nie była u nas bynajmniej owocem tylko kaprysu mody, czy przelotną efemerydą estetyczną, względnie teoretyczną. Z zagadnieniem tym wiązano bowiem zasadniczy sens nowego toru dziejowego, nowego ustroju państwowości polskiej oraz nowej kultury.

Nowsza literatura polska a nawet nauka dostarczają również nie jednego walnego dowodu uchylającego rzeczową słuszność stanowiska Piechala. Zresztą sam krytyk podważa je mimowoli, przeprowadzając dosyć uproszczoną linię podziału zarówno w międzywojennej, jak i w powojennej literaturze polskiej na grupę „formistów" i „treściowców" — tych ostatnich wyróżnia jako „społecznie jednoznacznych" tj. radykalnie nastawionych oraz umieszczając w grupie „treściowców" m. i. H. Boguszewską, Wł. Broniewskiego oraz L. Szenwalda. O ile mi wiadomo, żaden z wymienionych pisarzy ,a z niewymienionych również Br. Jasieński i starszy od niego o jedno pokolenie, należący bowiem do pokolenia młodopolskiego A. Strug, — obydwaj są przedstawicielami społecznego reformizmu — nie mogliby się wylegitymować rodowodem społecznym robotniczym czy chłopskim. Z drugiej strony znamy przecież pisarzy współczesnych oraz uczonych, których pochodzenie, używając nieaktualnego już dzisiaj, tj. przedwojennego klucza orientacyjnego, z nizin a raczej z b. nizin społecznych, powinnoby ich zradykalizować społecznie. Tymczasem zamiast ku radykalizmowi społecznemu, ciążą oni światopoglądowo raczej ku orientacji umiarkowanej społecznie a nawet zachowawczej. Zatrzymałem się nieco dłużej na zagadnieniu „powinowactw z wyboru" oraz rodowodu społecznego twórców, ponieważ pogląd Piechala na tę kwestię nie wyjaśnia „społecznego sensu literatury", zacierając właściwie stosunek przyczynowy między pochodzeniem twórcy a jego dyspozycjami duchowymi oraz postawą społeczno-światopoglądową.

*

Trzeba teraz z kolei przejść do pewnych uogólnień teoretycznych, do których prowokuje stanowisko Piechala, niesformułowane wprawdzie w tym kierunku zupełnie wyraźnie, ujawniające jednak między wierszami pewne przejrzyste tendencje do uogólnienia zjawisk i procesów kultury, dosyć typowego dla niektórych reprezentantów naszej lewicy intelektualnej.

Nie wszyscy z nich zdają sobie dostatecznie sprawę z tego, że zagadnienie oraz procesy kultury należy traktować pod kątem ich autonomizmu. Rozumieli niezbędność takiego właśnie ustosunkowania do życia kultury wielcy teoretycy marksizmu np. Lenin, który jako wyraziciel głębokiej i mądrej lojalności dla swoistych praw literatury i kultury powinien stać się klasycznym przykładem oraz drogowskazem. Na naszym gruncie intelektualnym odzywały się również niedawno głosy pokrewne ze strony teoretycznych przedstawicieli polskiego marksizmu, przeciwstawiające się w imię owego prawa autonomizmu kultury, przesadnie krańcowemu stanowisku niektórych członków polskiej lewicy marksistowskiej. Pozwolę sobie zacytować tu fragment z dużego artykułu Pawła Konrada pt. „Marksizm bez przyłbicy", poświęcony sprawie kultury ujmowanej z marksistowskiego punktu widzenia. („Odrodzenie" Nr. 14 — 15, rok 1947).

„Nie proletkult, ale nawiązanie do szczytowych osiągnięć kultury ludzkiej, mimo że były one klasowo obce proletariatowi. Nie schematyczne przeciwstawianie kultury proletariackiej — kulturze burżuazyjnej, ale pojmowanie kultury socjalizmu, jako realizowanej przez klasą robotniczą kultury ogólno - ludzkiej. „...Niezależne od tego, czy przewagę w dyskusji uzyskają zwolennicy realizmu czy formalizmu i jedni i drudzy wyrzekną się chyba eksterminacji wobec przeciwnika. Jakikolwiek monizm stylu, strzeżony milicyjne, byłby zabójczy dla wszelkiej kultury. Nawet uznając realizm za jedyny dopuszczalny kierunek, musimy się liczyć z tym, że niektórzy artyści hołdować będą formalizmowi i że znajdą pewien krąg odbiorców. Gdybyśmy mieli środkami administracyjnego zakazu zlikwidować formalizm, to będzie to zwycięstwo tylko pozorne. Tak uzyskane zwycięstwo realizmu byłoby kresem tego rozwoju, byłoby zwycięstwem miernoty i szablonu. Nie można bowiem tworzyć wielkich dzieł sztuki z uczuciem lęku, że przekroczenie dozwolonych norm grozi represjami. Niezależnie od tego, czy ktoś wyobraża sobie kulturę socjalizmu jako monolit, czy też jako wielość kierunków i stylów, musi przyznać, że tylko swoboda twórcza sprzyja rozwojowi kultury. Trzeba, żeby sztuka walczyła i zwyciężała własnymi środkami. Marksizm nie wyrzeka się wobec sztuki postulatu spełnienia zamówienia społecznego, nie zmienia swojej oceny poszczególnych kierunków. Ale marksizm świadomie rezygnuje z reglamentowania kultury środkami, które ją zabijają. Ta zmiana polityki kulturalnej marksizmu jest wyrazem zrozumienia specjalnych praw rozwoju kultury i sztuki, bardziej złożonych, niż prawa rozwoju gospodarczego. W miarę pogłębiania się tego zrozumienia i w tym zakresie ujawnia się humanistyczne oblicze marksizmu" (str. 11).

Stosunek materializmu dziejowego do zjawisk życia kultury przypomina podobne komplikacje, z jakimi musiała się borykać w swoim czasie przyrodnicza teoria rozwoju i nasuwa podobną formę rozwiązania. Twórca teorii rozwoju Darwin oraz jego naukowy kontynuator Wallace, nie mogli zmieścić zjawisk kultury w granicach przyrodniczego monizmu. Okazały się one niejednorodne ze zjawiskami świata organicznego. Darwin a głównie Wallace musieli sięgnąć ostatecznie do rezerwy dualistycznego tłumaczenia istoty procesów kulturowych oraz organicznych.

Piechal zdaje się przeoczać ową wysoce skomplikowaną drogę stawania się zjawisk literatury oraz kultury. Jemu wystarcza klucz klasowy, by je wyjaśnić bez reszty. Wielkie zjawiska literackie, tj. arcydzieła literatury, są jednak międzyklasowe, nawet wtedy, gdy powstają w klimacie klasowo „jednoznacznym", jak to określa Piechal tj. w atmosferze społecznie określonej najwyraźniej, gdy odsłaniają więc uwyraźnione oblicze społeczne twórcy, siłą swojego fatalizmu twórczego przemawiają językiem pozaklasowym do każdego, bez względu na jego przydział socjalny. Dlatego rodowód społeczny twórcy jest raczej nieistotny, jak to wyżej zaznaczono. Twórczość, muszę tu powtórzyć z naciskiem, bywa niejednokrotnie domeną klasowo-eksterytorialną. Promieniuje i dociera w zasięgu uniwersalnym, czyli międzyklasowym. Przykłady dzieła twórczego Mickiewicza, Puszkina, Balzaka, E. Zoli, Orzeszkowej, Prusa, Tołstoja, nawet Sienkiewicza, przemawiają za tym niedwuznacznie.

Piechal martwi się faktem obecnej, rzekomej „supremacji kulturalnej innych, schodzących z areny historycznej warstw społecznych nad ludem i proletariatem", jak również „sytuacją w literaturze wprost przeciwną, niż jest w rzeczywistości społecznej i politycznej", tzn., że w odrodzonej, ludowo - robotniczej Polsce, masy chłopskie oraz robotnicze nie przemówiły dotąd językiem własnego artyzmu w literaturze, że nie dopracowały się na niwie kultury do poziomu ludowładczej rzeczywistości. Niewiele pomoże na ten stan rzeczy, zapewne przejściowy, krytyka literacka, której przypisuje Piechal możliwości nierealne i do której akcji zapładniający literaturę apeluje bezprzedmiotowo. Rzeczywistość współczesna doczeka się zapewne swoich literackich epików, godnych jej dziejowej powagi oraz społecznej ważkości, ale z pewnością nie na drodze planowania. Żadne „zamówienia społeczne" nie mają bowiem możności wyprodukowania literackich arcydzieł. Zamówienie społeczne, cenne niewątpliwie jako ambitny, dalekosiężny program teoretyczny organizowania nowej literatury oraz kultury ma na razie sens metaforyczny głównie, tzn. należy je traktować, jako ową niezbędną, przewartościowaną dziejowo i socjalnie aurę moralno - społeczną, w której orbicie możliwą będzie nowa literatura oraz kultura, dotrzymująca twórczo kroku nowej rzeczywistości historycznej. Ale narodzin takiej literatury nie można doraźnie spowodować. Emancypacja kulturalna warstw dopiero udziejowionych narastać będzie bezapelacyjnie. Będzie to nieodwracalny, następny fakt współczesnego przewrotu historycznego. Do takiego wniosku prowadzą istniejące doświadczenia dotychczasowej kultury. Tylko, że w budownictwie nowej literatury i kultury polskiej wezmą udział na zasadzie nigdy nie przedawniającego się prawa „powinowactw z wyboru", bez względu na swój rodowód społeczny — twórcy w ogóle, dla których rytm przebudowanej społecznie współczesności będzie równocześnie najgłębszym rytmem duchowym ich osobowości.

Jerzy Eugeniusz Płomieński

---

*) Przypadek Kostrowickiego - Apollinaire'a, jak i F. Strowskiego należy umieścić poza rubryką „powinowactw z wyboru".

ANIELA MIKUCKA

Troski czytelnicze

Opracowanie przez K. Bartoszewskiego materiałów z ankiety pisarzy na wsi jest tak „skondensowane i napęczniałe od zagadnień słusznie rozwiązanych", jak pisze kjw w w nrze 30 „Odrodzenia", że chciałabym z nich wybrać i poruszyć kilka spraw, analizując je z innego jeszcze punktu widzenia.

Materiały zebrane przez pisarzy podczas ich wywiadów na wsi, zawierają trzy rodzaje zagadnień. Pierwsza ich grupa — to zagadnienie metod badania, szukanie nowych dróg, które byłyby doskonalsze zarówno pod względem precyzji i ścisłości osiągniętych danych, jak i docierania w głąb środowiska i w głąb psychiki pojedynczego czytelnika. Druga grupa — to próby wyjaśnienia i klasyfikacji tych faktów, zjawisk i procesów, które podkreślają autorzy, jako bezsprzecznie charakterystyczne dla terenu wiejskiego. Wreszcie grupę trzecią stanowią próby planowania akcji w dziedzinie upowszechnienia czytelnictwa właśnie w oparciu o „postawioną diagnozę".

Wszyscy stwierdzili, że na wsi istnieje nieufność do wszelkich ankiet, wywiadów, rozmów. Jest to przeszkodą nie byle jaką i przełamać ją może — jedynie wpływ osobisty badających, powolne przyzwyczajenie do tego rodzaju eksperymentów oraz umiejętne postawienie dyskusji. Ale istnieje inna jeszcze przeszkoda, a mianowicie trudności w formułowaniu myśli, sądów i ocen, a co za tym idzie—nieśmiałość audytorium wiejskiego. Tę przeszkodę łatwiej jest pokonać niż nieufność i to przede wszystkim przez właściwe stawianie pytań.

Jeden aspekt tego zagadnienia — to umiejętne pytanie w celu zdobycia odpowiedzi szczerej, trafnej i dającej obraz faktycznego stanu, drugi — pytanie, jako wprowadzenie do rozmów o książkach. Miarą spożytkowania książki, stanowiącą o poziomie czytelnictwa jest sposób mówienia o niej, który świadczy, w jakim sensie stała się ona własnością wewnętrzną odbiorcy i jak dalece jest mu bliska.

Młodzież w Uniwersytecie Ludowym w Pawłowicach — według relacji K. Z. Skierskiego — prowadziła wielogodzinne dyskusje, jeszcze po zamknięciu zebrania, z żywością i bezpośredniością, która cechuje rozmowy o ludziach żywych. W tym wypadku złożyły się na to: nieco wyższy niż przeciętnie na wsi poziom czytelniczy młodzieży, konkretny temat dyskusji (urywek przeczytany przez autora) i postawa autora, jego temperament oraz stosunek do ludzi i sprawy.

Otóż nie zawsze te trzy czynniki synchronizują w sposób pożądany, przy czym należy podkreślić, że operowanie w dyskusji czy wywiadzie konkretami, np. tytułami książek, nazwiskami bohaterów czy autorów jest jedyną drogą porozumienia. Czytelnik wiejski niewyrobiony posiada cechy identyczne z cechami umysłowości dzieci i młodszej młodzieży, u której proces problematyzacji zagadnień przychodzi dopiero znacznie później.

Rozmowy o książkach mają dlatego duże znaczenie, że fikcja literacka dla czytelników początkujących jest rzeczywistością realną, w której biorą udział. Słusznie zwraca uwagę A. Rymkiewicz, że „chodzi tu o to, aby powieść, ukazując życie we właściwych, sprawdzalnych proporcjach, dawała jednocześnie wzór, aby fikcja literacka sąsiadowała z ludźmi spotykanymi, a w każdym razie z takimi, których spotkać można, tylko ci z książki niech będą silniejsi... dzięki wyolbrzymionym, ale bardzo ludzkim zaletom".

To życie w sprawdzalnych wymiarach i to długie życie w świecie książki — to właśnie cechy dziecięce charakterystyczne również dla odbiorcy niewyrobionego. Bardziej wyspecjalizowany czytelnik posiada już i inny rodzaj wrażliwości, inne potrzeby i inne zainteresowania w stosunku do tekstu.

„Czytelnik na wsi żąda powieści podróżniczych i historycznych, gdyż chce, by książka była równocześnie prawdziwa i baśniowa" — pisze Koźniewski. Prawdziwość czyni książkę zrozumiałą i kształcącą, baśniowość zdobi szarzyznę ich życia, jest podnietą dla fantazji, ukazaniem świata w wymiarze innym, ale dającym się skontrolować znanymi sprawdzianami. W tym wypadku cechy dziecinne występują wspólnie z cechami ludzi dojrzałych. Dziecku wystarcza samo współżycie z fikcją literacką, ona pochłania jego uwagę całkowicie, dorosły czytelnik chce się dowiedzieć ponadto rzeczy konkretnych. Czytelnik wiejski, jak podkreśla Stanisław Piętak, domaga się humoru — znów cecha pokrewna z młodocianymi czytelnikami. Jest to instynktowna potrzeba zdrowych przeżyć, rozładowania w śmiechu kompleksów, smutków i urazów, których nie brak w życiu wsi. Sądzę, że na tej drodze można by wielu dla książki pozyskać, humor bowiem pozwalając na pełnowartościowe wyżywanie się, w najbardziej dodatnim sensie może współzawodniczyć z innymi rozrywkami. Jest to swoisty sposób sublimacji zbyt wybujałych wątków erotycznych, niewłaściwych znaczeń o ułatwionym życiu, nieosiągalnej nieraz egzotyki. Śmiech jest łatwy i dlatego zapewne łatwo pozwala zyskiwać zwolenników, byleby był zdrowy i wesoły.

Ale cechą czytelnika na wsi, najbardziej zbliżoną do cech charakterystycznych dla młodzieży, jest poszukiwanie wzorców w literaturze, bardzo typowe dla ludzi, którzy mają świadomą potrzebę kształcenia się. Tym też tłumaczy się potrzeba zdrowej, pogodnej, krzepiącej literatury, objaw zaobserwowany przez wszystkich pisarzy. Ów młodzieżowy rys wiejskiego czytelnika pozwala optymistycznie patrzeć w przyszłość czytelnictwa na wsi.

Dlaczego analogia między czytelnikiem wiejskim a czytelnikiem młodocianym pozwala na znalezienie korzystnej i słusznej postawy w krzewieniu czytelnictwa na tym terenie? Ponieważ dowodzi, że czytelnik wiejski nie jest inny i nie jest gorszy, ale jest młodszy i zapóźniony. Język porozumienia z nim nie powinien być odrębny, ale powinien uwzględniać kolejne stadia jego wewnętrznego rozwoju. Dobór słów i dozowanie treści są jedyną drogą do wspólnej kultury i wspólnego rozumienia piśmiennictwa. Nie prowadzą do upowszechnienia kultury inne słowa lub zagadnienia, niż te, które spotykamy w środowiskach wyrobionych. Stąd niechęć wsi do książek pisanych gwarą, która oddziela i wyodrębnia, stwarzając upokarzające „poczucie „inności". Niechęć do tematów wiejskich wynika nie tylko z niewłaściwego ich ujęcia, ale i z tego, że podkreślają one odrębność środowiska wiejskiego.

Aleksander Rymkiewicz stwierdza bardzo słusznie, że „właściwie wszystko ich interesuje, nie umieją tego wypowiedzieć, ale nie w tematyce tkwi sedno sprawy". Tak jak dzieci przyjmują każdą tematykę, ale chcą ciekawego ujęcia, które pobudza do myślenia oraz pozwala na konkretne analogie z życiem (wzory lub wskazówki). Wymaganiom tym przede wszystkim odpowiada powieść. Literatury popularno-naukowej domagają się raczej starsi i tutaj dochodzimy do bardzo interesującego zjawiska zarysowywania się poszczególnych grup czytelniczych na wsi: starsi, młodzież, kobiety, aktyw wiejski (nauczyciele, działacze, pracownicy samorządowi), z których każda posiada odrębne i charakterystyczne oblicze. Starszym potrzeba w pierwszym rzędzie wiadomości praktycznych. Młodzież chłonie raczej wszystko. Kobieta na wsi nie ma czasu na czytanie i jest to zapewne jedna z przyczyn niskiego poziomu czytelnictwa na wsi w ogóle.

Drogi propagowania książki na terenie wiejskim nie są trudne. Obok jak najszerszego rozprowadzenia książki, która najlepiej mówi sama za siebie, istnieje zagadnienie „rozsadnictwa" w zakresie czytania. Tutaj rolę zasadniczą powinna spełniać kobieta. Nie chodzi bowiem tylko o to, że kobieta czytająca dzieciom stwarza podwaliny najzdrowsze dla akcji czytelnictwa i gruntuje kulturę literacką od podstaw. Kobieta, jako rozsadnik zamiłowania do książki przedstawia walory niepowszednie. Indywidualne środki krzewienia czytelnictwa za pośrednictwem kobiety na wsi — mogą stosunkowo szybko doprowadzić do celu pod jednym jednak warunkiem, że znajdzie się dla niej obok „klasyków" odpowiednia książka. Aspiracje i marzenia, których zaspokojenia szuka, muszą znaleźć w nowej książce właściwy wyraz. Kobiety na pewno chcą czytać, ale nie mają dla siebie książki odpowiedniej i nie mają czasu. I to jest drugie zagadnienie w tej dziedzinie.

Stanisław Czernik pisze: „...czytelnik wiejski na obszarze Ziem Odzyskanych jest właściwie nieuchwytny w zespole, należało by go szukać pojedynczo..." W twierdzeniu tym, które zresztą można rozciągnąć i na inne tereny — tkwi zagadnienie roli „rozsadnictwa" w krzewieniu upodobania do książki. Wykraczamy tu już z kręgu niektórych zjawisk, które domagają się analizy i wyjaśnienia — w dziedzinę prób projektowania i planowania na przyszłość.

Przy obecnym stanie czytelnictwa czytelnik masowy na wsi jest jeszcze jako zespół bierny i trudny do ożywienia. Rolę pobudzającą spełnia aktyw wiejski — nauczyciele pracownicy samorządowi, działacze. Ale to nie wystarcza. Szczególną troską powinni być otoczeni ci z masy czytelniczej, którzy przez szczęśliwy zbieg okoliczności lub im tylko wiadomymi drogami doszli do czynnego i twórczego stosunku do książki i są jej „rozsadnikami" Taki przykład — samorzutny, nieurzędowy, nieświadomy ma wielką siłę przekonywającą i ten „pojedynczy" czytelnik jest ośrodkiem równie silnie, może nawet silniej promieniującym, niż oficjalny aktyw lub zamierzona propaganda. Taki czytelnik może spełnić doniosłą funkcję w upowszechnianiu książki, o ile w sposób właściwy zostanie wciągnięty w akcję.

Ze wszystkich obserwacji pisarzy wynika, że nauczycielstwo stanowi ten odłam aktywu wiejskiego, który w krzewieniu czytelnictwa zajmuje pierwsze miejsce. Cały ciężar obowiązków w tej dziedzinie, obok zajęć szkolnych, niesie najczęściej nauczyciel. Ale rola jego w upowszechnianiu książki poza szkołą nie jest jedyna. Książka nie jest i nigdy nie powinna być „rekwizytem szkolnym", jak pisze K. Bartoszewski. Szkoła powinna w posługiwaniu się książką, jako instrumentem nauczania, kształtować, decydujący na całe życie, stosunek do czytelnictwa. I to jest główna, zasadnicza rola nauczyciela w krzewieniu trwałego upodobania do książki. Ciężar pracy w bibliotece i inne formy pracy kulturalno-oświatowej powinny przejąć w przyszłości specjalne kadry działaczy.

Wsi potrzebna jest książka „czytelna" i tą książką jest literatura „klasyczna". W niewielu wypadkach jest to wielka literatura, w innych, literatura średniej miary. Tkwi w tym jedno tylko niebezpieczeństwo. Mianowicie łatwość chłonięcia tej literatury, czy dzięki np. specyficzności talentu autora (Sienkiewicz), czy prostocie i przystępności ujęcia (Kraszewski, Orzeszkowa) — może wytworzyć swoiste lenistwo i chęć przestawania w tym właśnie tylko kręgu przeżyć literackich. Szczególnie niebezpieczny jest tutaj Sienkiewicz, choć stanowi on znakomitą szkołę czytania. Pozostaje ponadto kwestią otwartą, jakie pozycje literatury „klasycznej" mogą być pierwszą książką czytelnika wiejskiego, co dla zagadnienia czytelnictwa na wsi jest sprawą zasadniczą.

Ten zaczarowany krąg „klasyków" może odgrodzić czytelnika od książki współczesnej, do czego dopuścić nie wolno. Dlatego mimo braku odpowiedniej literatury dla wsi, na okres przejściowy, obok książek „klasycznych" muszą być w obiegu te książki współczesne, które są.

Materiały zebrane przez autorów na wsi są dla badaczy czytelnictwa prawdziwie interesujące. Ostrość widzenia niektórych zjawisk, szczerość i przychylność w ocenie czytelnika wiejskiego, nowy punkt obserwacji i spojrzenie twórcy — nie tylko wzbogacają doświadczenia badaczy, ale nade wszystko stanowią odskocznię dla badań obiektywnych i metodycznych w odmiennej postaci. Sądzę, że ich planowe i systematyczne kontynuowanie jest bardzo pożądane.

Aniela Mikucka

W poprzednim 39 (200) numerze „Odrodzenia" z dnia 26 września 1948 r.: **Żagarysta:** Henry Miller czyli dno. — **Aimé Cesaire:** Ja chcę dostać bilet na pociąg wolności. — **Louis Aragon:** Czarne ryby (przełożył **Jerzy Zagórski**). — **Stanisław Ligoń:** Czy Mickiewicz widział wygięty promień słońca. — List Lwa Tołstoja do Romain Rollanda (przełożyła **Wanda Jedlicka**). — **Jerzy Putrament:** Od kultury do monopoli. — **Kazimiera Iłłakowiczówna:** Z cyklu „Siedmiogrodzkie cekiny": Pełechaty osiołek. Melony. Pod górę gliniastą. Trójce. — **K. W. Zawodziński:** Twórca polskiej powieści ludowej. — **Danuta Parnas:** Szkoła w „Kibitce". — **Roger Vailland:** Bronię dziwnej zabawy (przełożył **Allan Kosko**). — Przekłady („Historia Manon Lescaut i kawalera des Grieux" A. F. Prevosta, „Pierwsze porywy" Konstantego Fiedina); Proza dokumentarna („Apteka w Ghetcie" Tadeusza Pankiewicza). — **kjw:** Zaczepki: Kolba z ludem. — Teatr: **Stefania Podhorska-Okołów:** Jak za praojca. — **Anna Z. Linke:** Z wystaw Warszawy — „Krwawe gody" w warszawskiej „Placówce". — **sts:** Mosty warszawskie. — Camera obscura. — 7 ilustracji. — 8 stron.

A DOLF SOWIŃSKI

SONET JELENIOGÓRSKI

Wnętrza mieszkań przed ciszą, oczu przed snem brońcie!
Góry są tuż i z dala, nad borem i w borze,
a wszystkie utrzymują się w takim kolorze,
jakby wieczór przebywał wciąż na horyzoncie.

Dlatego wieczór w mieście jest o każdej porze
i barwa gór napełnia kościoły. Odsłońcie
okna, a zobaczycie ją na prostokącie
każdego z waszych luster: w domowym przestworze.

I każdy cień jest w mieście barwą gór, a ono
ma różne kształty cieni i różne postaci
wśród gzymsów i rzeźb w cieniu. Deszcze szły tą stroną,

więc trawa wybujała i nawet skrzydlaci
statyści z rzeźby, którą nisko osadzono,
stoją po skrzydła w trawie. Miewano w nich braci.

ARTUR ADAM MIĘDZYRZECKI

STRONY PRZYDROŻNE

Jesteś punktem na strunie, lampą srebrnego skraju
Apulijskim balkonem i dyszlem złotym od gwiazd
Przychodzisz śpiewna — z ciebie strzęp melodii nazajutrz
I ziemi smak na wargach i szelest porannych nazw.

Ogród świetlików już mijałem na wojnie nieraz
Niósł mnie silnik pancerny przez wiorsty przydrożnych stron
Pociski pękały jak w strofie Apollinaire'a
Gdy salwy — mimozy ognia — wykwitały nad front.

Teraz ciszej. Północą rośnie szum chybotliwie
I lampy schodów gasną w zaułkach zawiłych brył
Jesteś gniewem, na który wolno sypie igliwie
Mrok zaczęty na wieży, w rzeczny rzucony ił.

Sprawisz, nadmorski koń powieje stustrunną grzywą
Len i kaolin statki przywiozą na bliski ląd
I nad prawdziwą bocian zaszybuje Niniwą
I czujny rozkwieci wiersz araukarię i klon.

Może kiedyś świt wytrwa do smugi kroków późnych
Do lutni siwych bardów i do dzwoniących klechd —
A taka prosta jest noc — mandolina gra w kuźni
I jak płomienny instrument syczy czerwony miech.

Książki · Książki

POEZJA

„W KARTY Z HISTORIA"
Romana Bratnego

Warszawa, „Czytelnik", 1948, str. 109 i 3 nl.

rys. M. Rudnicki

Roman Bratny

Roman Bratny jest poetą bardzo skomplikowanym. Pragnie wyrażać za pomocą wierszy bezpośrednie i najbardziej intymne przeżycia, a jednocześnie za pomocą tych przeżyć tworzyć jeśli nie całkiem nowe, to przynajmniej swoiste formy poetyckie. Dobijanie się do własnego wyrazu artystycznego znać w każdym jego wierszu. Trud pisarza jest widoczny nawet tam, gdzie powinno się o nim zapomnieć, rozkoszując się urokiem samego artyzmu w przenośni, w metafozę, w odbiciu wizji — jest ono zawsze zarysowane, zmącone. W ukształtowaniu słownym wyobrażeń brak jednolitej porządkującej ogólny obraz zasady. W soczewce wyobraźni poetyckiej kłócą się jak gdyby rozmaite elementy widzeń, wyrzucanych następnie w wiersz w sposób niepowiązany żadną zasadą porządkującą. Stąd wrażenie przedstworzennego chaosu, jaki się odczuwa w każdym wierszu Bratnego. Jest w tym pewna niecierpliwość, wynikająca z nadmiaru siły lirycznej i bogactwa przeżyć przy jednoczesnym niedowładzie woli kształtotwórczej. Cierpi na tym forma wiersza, który jak góra wulkaniczna rozsadzany jest od wewnątrz chaotyczną lawą nie jednolitych, lecz zmieszanych ze sobą przeżyć i wizji. Być może, sam poeta w myśl swych teoretycznych postulatów wytłumaczy to dramatyczną zasadą stosowaną przez siebie w budowie swych wierszy. Istotnie takie wiersze jak „Dramat w końskiej źrenicy", „Analiza orłów", „Poemat zza kierownicy" lub „Kochanka w studenckiej czapce" dałyby się podciągnąć pod tę zasadę i nią usprawiedliwić, bo są jasne i czytelne. Ale większość wierszy w tomie nie da się podporządkować tej zasadzie, brak do nich kluczy, czynią wrażenie przeznaczonych tylko dla wybranych, w najlepszym razie zamkniętych, szczelnie sezamów o przeczuwanych zaledwie skarbach. Z tej większości wiele czytelnych jednoznacznie jest jedynie we fragmentach — a przecież jednoznaczność wszelkiego tworu artystycznego jest zasadniczym postulatem naszej nowej rzeczywistości powojennej, przynajmniej w zasięgu ustrojów demokracji ludowych. Również i z tej strony biorąc — więc od formy, a nie treści — można uznać i podkreślić trafność tytułu zbioru wierszy wojennych i bezpośrednio powojennych Bratnego: „W karty z historią". Wyklarowanie formy artystycznej zdecyduje, czy poeta w tej grze z historią wygra, czy przegra — karty bowiem w ręku ma bardzo silne, operuje nimi tylko dość jak dotąd enigmatycznie. Zagadkowość też jest oczywiście pewnym rodzajem stylu, ale stosowana programowo i na dłuższą metę staje się wreszcie, jak uczy doświadczenie, klęską artystyczną.

Marian Piechal

„SIEDEM NOCY"
Stanisława Czernika

Kraków, Biblioteka Oddziału Wiejskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich, 1948, str. 152 i 6 nlb.

Stanisław Czernik przed wojną redagował przez kilka lat znane szeroko w Polsce w szerszych kołach poetów i miłośników poezji czasopismo poetyckie „Okolica poetów". Był też twórcą i apostołem teorii o liryce, którą ochrzcił mianem „autentyzmu" Koncepcja ta, niezbyt przekonywająca w swej oryginalności i nie dość jasna w strukturze, była jednak dyskutowana i szeroko znana. W okresie międzywojennym panowała wielka skłonność do tworzenia pewnych koncepcyj teoretycznych w związku z własną twórczością. Było to echo wielkiego ruchu teoretycznego, jaki opanował świat w początkach bieżącego stulecia.

Przed wojną też Stanisław Czernik wydał kilka tomików poezji jak: „Poezje, seria I", „O polskim płocie", „Przyjaźń z ziemią" oraz powieść „Gorycz". Ton ich ogólny był wybitnie wiejski, takim też i pozostał mimo, że poeta przemierzył czasu wojny wiele krajów, egzotycznych i nieegzotycznych. Silny związek z naturą pozostał nierozerwalnie utrwalony w całej dotychczasowej twórczości. Interesującą sprawą jest też nieposzerzenie kategorii oglądanego świata mimo, że tyle poeta go oglądał w ciągu tych wojennych lat.

Omawiany tom „Siedem nocy" zawiera obok wszystkich dawnych wierszy sprzed wojny jeszcze wiele napisanych w czasie wojny i przymusowej emigracji. Całość, więc jest obrazem pełnej twórczości Stanisława Czernika za okres dwudziestokilkuletni. Na utwory okresu wojennego i powojennego składają się następujące cykle: „Niedościgniony czas". „Tristium liber", „Pościg i ucieczka", „Krąg balladowy" i „Śpiewy historyczne". Otwiera tom bardzo charakterystyczny wiersz „Pożegnanie biblioteki przed wojną". Potem następują utwory związane z różnymi krajami i wypadkami, ale zawsze wybrzmiewa w nich ta sama nuta wsiowości, atmosfera pejzażu wiejskiego, zapachu drzew, nieba i ziemi. Dołącza się tylko nuta patriotyczna, nuta tęsknoty, tak dobrze znana w poezji polskiej nie tylko tych lat. Niewątpliwie, Stanisław Czernik jest wybitnie poetą wiejskim, charakterystycznym dla swego środowiska. Wiersz jego nieskomplikowany, wyrosły z pieśni ludowej przełamanej nieśmiałym nowatorstwem. Skłonność do budowania dłuższych utworów, forma na ogół niewyszukana i czasami nieuchwytnie, niemal nieporadna. Przy tym dużo szczerości przeżycia, łagodności uczuć i rzewności. Niewątpliwie jest to zbiór wierszy poety o silnym wewnętrznym przekonaniu oraz wiary i miłości do świata i człowieka.

Stefan Flukowski

PRZEDPŁATA
NA
NARODOWE WYDANIE DZIEŁ
ADAMA MICKIEWICZA
trwa do dnia 15 października br.

Prosimy wypełniać czytelnie

DEKLARACJA

Niniejszym zamawiam w przedpłacie pierwszą serię Narodowego Wydania Dzieł Adama Mickiewicza (4 tomy — 1700 stron—całość twórczości poetyckiej). Należność w sumie 800 zł. zobowiązuję się wpłacić na konto PKO Nr I-7474 jednorazowo, albo w ratach (nie mniejszych niż 200 zł.) najpóźniej do dnia 15-go października 1948 r.

(Nazwisko) (Miejscowość)
(Imię) (Ulica, Nr domu)
(Zawód) (Poczta Powiat)
(podpis)

Wyciąć, nakleić na kartę pocztową i przesłać pod adresem Warszawa ul. Daszyńskiego 14, »Czytelnik«, Instytut Wydawniczy

JACEK FRUHLING

Master Builder Nr 1

Rozmowa z Arturem Rodzińskim

Pewnego sierpniowego przedpołudnia zjawił się w Poselstwie RP. w Bernie osobnik, którego wedle tytulatury biurokratycznej określa się słowem „strona". Usiadł w poczekalni, chcąc skrócić czas oczekiwania zaczął wertować pisma polskie rozłożone na stole. W pewnej chwili „strona" zniecierpliwiła się i zapukała do mego pokoju. Patrzę i oczom nie wierzę: Artur Rodziński, kolega z dawno minionych czasów gimnazjalnych, człowiek, który w Ameryce chodzi w nieprawdopodobnym blasku sławy. Wyczerpawszy wspomnienia dowiaduje się, że Rodziński jedzie w najbliższym czasie do Polski. Ma od naszych czynników rządowych propozycję zorganizowania polskiego życia muzycznego jako spec klasy najwyższej, może stanie na czele tworzącej się Filharmonii Warszawskiej. Umawiamy się, że za kilka dni odwiedzę Rodzińskiego w sanatorium nad Montreux, w którym odpoczywa po trudach pracowitego, amerykańskiego żywota.

Cała zresztą biografia tego artysty jest zwierciadłem nie tylko fantastycznych sukcesów, ale i benedyktyńskiej pracowitości połączonej z niebywałą ruchliwością.

Tzw. światło dzienne ujrzał Artur w dalmatyńskim Spalato, gdzie ojciec jego, Józef, mieszkał przez czas jakiś jako chirurg śp. armii austriackiej. Jako pięcioletni chłopak znalazł się Artur wraz z rodziną we Lwowie. Skończył tam gimnazjum. Fale pierwszej wojny zaniosły go do Wiednia. Tam skończył wydział prawny Uniwersytetu z tytułem doktora. Mając od dzieciństwa pociąg do muzyki jednocześnie studiował nad Dunajem w wiedeńskiej akademii muzycznej, którą ukończył niemal równocześnie ze studiami prawniczymi. Po zakończeniu wojny Rodziński uświadamia sobie, że jedyną drogą jego życia będzie sztuka, muzyka. We Lwowie zwraca na siebie uwagę dyrektora Opery Lwowskiej, który powierza mu stanowisko kierownika chóru. W r. 1920 przechodzi pierwszy chrzest kapelmistrzowski: w Operze Lwowskiej dyryguje operą Verdiego „Ernani". Odnosi z miejsca sukces tak wielki, że w r. 1921 wzywa go Opera Warszawska, w której Rodziński wybija się na stanowisko pierwszego dyrygenta. Młody muzyk nie poprzestaje jednak na operze. W sezonie 1921-22 dyryguje po raz pierwszy koncertem warszawskiej Orkiestry Symfonicznej. Jest to jego pierwszy, kapelmistrzowski, jeżeli chodzi o muzykę symfoniczną, krok ku wielkości.

Wieść o znakomitym muzyku, który już wtedy w Warszawie stosuje żelazną dyscyplinę i wobec siebie i wobec tych, którzy w skupieniu patrzą na jego pałeczkę, dociera za Ocean. Leopold Stokowski, pochodzeniem związany z Polską, wzywa Rodzińskiego w r. 1925 do Stanów Zjednoczonych. Na początek zostaje Rodziński tzw. asystentem Stokowskiego w Filadelfii, w której spędza cztery lata. Obok asystentury jest dyrektorem muzycznym Opery oraz założycielem szkoły muzycznej Curtis Institut of Music, w której tworzy własną orkiestrę symfoniczną. Od r. 1929—1933 stoi Rodziński na czele własnej orkiestry symfonicznej w Los Angelos. Lata 1933—1943 spędza w Cleveland. Obok muzyki symfonicznej i niezliczonych koncertów, organizuje Rodziński Operę i m. i. wystawia operę Szostakowicza „Lady Macbeth", którą dyryguje również później w Nowym Jorku. W okresie swego pobytu w Cleveland organizuje w r. 1937 dla Toscaniniego orkiestrę National Broadcasting. Od r. 1943—1946 stoi na czele Filharmonii Nowojorskiej, następnie przenosi się na rok do Chicago, gdzie prowadzi Orkiestrę Symfoniczną. W tych latach, wypełnionych sukcesami, Rodziński, po którego wyciągają ręce i radio i film i wielkie koncerny gramofonowe, bywa od czasu do czasu w Europie, występuje w Londynie, Salzburgu i Warszawie. Krzywa powodzenia, rozgłosu i sławy rośnie ustawicznie i jest daleka od zatrzymania się w martwym punkcie.

*

Skąpane w słońcu upalne przedpołudnie sierpniowe. Sanatorium w miejscowości Val-Mont nad Montreux jest jakby zawieszone na skałach. Z balkonu, przylegającego do pokoju Rodzińskiego, roztacza się rozległy widok na zasnieżony szczyt Dent de Midi, na olbrzymie jezioro genewskie, którego brzegów, kiedy się spogląda w kierunku Genewy, nie widać. Rodziński opowiada z pasją i ożywieniem o amerykańskim życiu muzycznym. Zdaniem jego, dzięki szkołom muzycznym, radiu i płytom gramofonowym, Ameryka przeżywa renesans życia muzycznego. Dziesięć, dwadzieścia lat temu, trzeba było szukać w Europie muzyków orkiestrowych, dziś ma Ameryka na tym odcinku hiperprodukcję. Publiczność amerykańska, będąca mozaiką wszystkich narodów świata, jest na ogół chłonna i dla muzyki bardzo przystępna. Nie ma w Ameryce mowy o szowinizmie muzycznym. Publiczność ma nie tylko dobrą wolę, ale i ogromną cierpliwość. Amerykanin słucha jednego i tego samego utworu wielokrotnie. Dowodem i miarą tej „dobrej woli" i cierpliwości publiczności jest m. i. fakt, że utwór Strawińskiego „Symfonia Psalmów" był na tym samym koncercie grany dwu-

Artur Rodziński

krotnie — raz w części pierwszej, raz w drugiej. W Ameryce nie można mówić ogólnie o przewadze jakichś zamiłowań czy gustów. Nie można również powiedzieć, by muzyka klasyczna była przekładana nad współczesną, lub na odwrót. Wszystko zależy od środowiska i oczywiście od krytyki. Ta krytyka, o ile chodzi o pisma codzienne, jest typowo amerykańska. Krytyk muzyczny — to reporter, który, jak prawie wszyscy i wszystko w Stanach Zjednoczonych, musi się spieszyć. U nas w Europie nawet sprawozdawca muzyczny pisma codziennego przetrawia to, co usłyszał, nie musi bezpośrednio po koncercie biec do redakcji, siadać do maszyny i pisać. W Ameryce przedstawia się to zupełnie inaczej. W rezultacie krytyki muzyczne — to nieprzemyślane, pozbawione dystansu reportaże. Nie odnosi się to do periodyków muzycznych, których poziom jest bardzo wysoki. Jak w każdej dziedzinie życia amerykańskiego, wielką rolę gra oczywiście w muzyce reklama. Mimo to tzw. uniwersalnych bogów muzycznych nie ma właściwie w Ameryce i może się zdarzyć, że artysta o wielkim nazwisku gwałtownie reklamowany, nie zdobędzie sukcesu. Ogromne jest w Ameryce zainteresowanie młodzieży muzyką. Poszczególne uniwersytety mają wspaniałe sale koncertowe, rozporządzają własnymi orkiestrami symfonicznymi, a szkolnictwo muzyczne stoi na poziomie bardzo wysokim. W przeciwieństwie do muzyki symfonicznej, niezbyt dobrze przedstawia się w Ameryce sprawa chórów. Zaledwie kilka amerykańskich zespołów chóralnych ma jaki taki poziom. Całe życie muzyczne w Ameryce znajduje się w rękach prywatnych. Mimo renesansu życia muzycznego, nie ma do tej chwili w Stanach Zjednoczonych żadnego urzędu, który by się muzyką opiekował lub nią kierował.

Wskutek braku jakiejkolwiek opieki czy pomocy ze strony państwa, wszystkie orkiestry symfoniczne, będące własnością osób prywatnych, są deficytowe. Wpływa na to nie tylko brak odpowiednio wielkich sal, ale również i okoliczność, że sezon jest krótki, trwa bowiem od października do końca kwietnia. Przy takiej sytuacji, muzycy wchodzący w skład orkiestr symfonicznych muszą dorabiać „na boku", pracują w radio, nagrywają na płyty.

Zastanawiając się nad tym, jak poprawić sytuację materialną ludzi będących kółkami w olbrzymiej maszynie muzycznej Stanów Zjednoczonych, wysunąłem — mówi Rodziński — swego czasu projekt opodatkowania radioodbiorców amerykańskich na rzecz jakiegoś funduszu muzycznego opłatą jednego dolara rocznie, co dałoby rocznie około 80 milionów dolarów. No, i okrzyczano mnie za ten projekt brudnym... R o s j a n i n e m!!

Na zakończenie swoich uwag o amerykańskim życiu muzycznym Rodziński mówi jeszcze o niebywale wysokich zarobkach nielicznych gwiazd muzycznych, wśród których jedną z pierwszych jest nasz rodak Rubinstein, również Artur. W przeciwieństwie do tych gwiazd, „szaraczki" muszą walczyć ciężko, by się utrzymać na powierzchni. Nie do pozazdroszczenia jest również sytuacja kompozytora amerykańskiego ze względu na ogromne koszta związane z drukiem utworów muzycznych. Miliony zarabiają tylko autorzy muzyki lekkiej oraz ci, którym udało się wejść do świata dziesiątej muzy.

No, a teraz — powiada Rodziński — chciałbym jeszcze powiedzieć słów parę o tym, co myślę o sytuacji muzyki w Polsce i jakie plany chciałbym zrealizować, gdyby rozmowy na temat objęcia przeze mnie kierownictwa Filharmonii Warszawskiej doprowadziły do pomyślnego rezultatu. Rysuje mi się to mniej więcej tak: Polska odczuwa obecnie brak materiału nutowego, który stosunkowo tanio można dostać w Ameryce. Poza tym nie mamy instrumentów. Smyczkowe uszłyby jeszcze. Natomiast w instrumentach drewnianych i blaszanych są braki ogromne. Aby te braki jako tako wyrównać, potrzebne są przede wszystkim pieniądze i jeszcze raz pieniądze. Skoro jednak i przed wojną i obecnie znajdowały się zawsze i znajdują środki finansowe na liczne imprezy sportowe, rozgrywające się za granicą, to wydaje mi się że z chwilą, kiedy opiekę nad muzyką wzięło w swe ręce państwo, nie można i nie należy być tutaj przesadnie oszczędnym. Poza sprawą instrumentów i materiału nutowego, kwestią piekącą jest dziś w Polsce zagadnienie instruktorów muzycznych. Instruktorzy tacy daliby się łatwo znaleźć. Np. we Francji jest cały szereg pedagogów muzycznych przymierających głodem. Można i należało by sprowadzić ich do Polski, by w konserwatoriach, których poziom powinien być bardzo wysoki, kształcili i wychowywali polski narybek muzyczny. Jestem zasadniczym przeciwnikiem tworzenia w Polsce dwóch orkiestr symfonicznych: radiowej i koncertowej. Na razie nie pora jeszcze na to. Zdaniem moim, wszyscy ludzie pracujący na odcinku muzyki symfonicznej powinni być tak opłacani, by nie potrzebowali dorabiać graniem po knajpach, dancingach i teatrzykach. Przecież muzyka — to właściwie jedyny materiał eksportowy. Zrozumieli to dobrze Czesi, których orkiestry symfoniczne objeżdżają cały świat. Postawienie życia muzycznego w Polsce na jakim takim poziomie wymaga szczegółowego planu organizacyjnego, przy czym ci, którzy go realizują, muszą mieć jak najdalej idącą swobodę ruchu i decyzji. Jestem namiętnym kapelmistrzem, ale nie mniej interesuje mnie i pasjonuje to wszystko, co jest związane z muzycznym aparatem organizacyjnym. Może dlatego nazwano mnie kiedyś w Ameryce American Orchestral Master Builder Nr 1.

Rozmowa z Builderem Nr 1 mogłaby jeszcze trwać długie godziny. Trzeba jednak mieć wzgląd na siły i nerwy artysty. Za kilka dni wyjeżdża do Salsburga, by poprowadzić koncert symfoniczny, Za kilka tygodni wystąpi na weneckim Biennale na czele rzymskiej orkiestry radiowej. Jest się do czego przygotować, nad czym pomyśleć...

Jacek Frühling

PAWEŁ ETTINGER

Muzeum im. K. Stanisławskiego

Paweł Ettinger

Paweł Ettinger, wybitny znawca sztuki i krytyk, zmarł 15 września b. r. w Moskwie. Paweł Ettinger zasłużył się szczególnie przy wzmacnianiu więzi kulturalnych miedzy Polską i Związkiem Radzieckim. Poniżej zamieszczamy Jego ostatnią pracę

Żywo utkwiło mi w pamięci, jak Stefan Zweig, zaproszony przez rząd radziecki do Moskwy w r. 1928 na obchód stulecia urodzin Lwa Tołstoja, po powrocie z wycieczki do Jasnej Polany, był zdumiony niepozornością zewnętrzną domu i bardzo skromnym urządzeniem mieszkania wielkiego pisarza. Zdumienie jego było tym większe, że jednym z atutów przeciwników Tołstoja był domniemany kontrast jego ideologii społecznej z bogatym pono życiem osobistym właściciela tytułu i majątku hrabiowskiego.

Wrażenie do pewnego stopnia pokrewne odbiera się zwiedzając „Muzeum Konstantego Stanisławskiego" otworzone niedawno w stolicy radzieckiej w dziesiątą rocznicę zgonu tego znakomitego reformatora rosyjskiego — i nie tylko rosyjskiego. Nowe Muzeum mieści się w kamienicy, gdzie przez lat kilkanaście mieszkał Stanisławski i gdzie życie swe zakończył.

I tu, jak w wiejskiej siedzibie Tołstoja, najmniejszego przepychu, żadnych mebli stylowych, żadnych kosztownych obrazów na ścianach ani przedmiotów zbytku jak przystało głośnemu dyrektorowi i kierownikowi artystycznemu czołowego teatru stołecznego, który dla swych inscenizacji angażował najprzedniejszych malarzy oraz dekoratorów swojskich i zachodnich. (jak np. Anglika Gordona Craiga).

Skromnie umeblowany gabinet Stanisławskiego z długim szeregiem oszklonych półek amerykańskich, zapełnionych książkami, ozdobionych zaledwie kilkoma wyrobami dawnej ceramiki; obok malutka zupełnie sypialnia, dalej zaś bardziej obszerny a również schludny salonik małżonki Marii Lilinej, aktorki pociągającej ongi pełnym finezji talentem, uwydatniającym się szczególnie w repertuarze Czechowa.

Zasługuje na uwagę i sam gmach muzealny, nieduży, lecz pełen wspomnień historycznych, należał bowiem kiedyś do generała Aleksego Jermotowa (1772—1861), jednego z bohaterów wojen napoleońskich, który w związku z powstaniem dekabrystów wpadł w niełaskę Mikołaja I i po dymisji musiał resztę życia spędzać w Moskwie, z dala od dworu cesarskiego. Mamy tu charakterystyczny typ pałacyku moskiewskiego z pierwszej połowy zeszłego stulecia, o niedużych pokojach, niskich pułapach, wąskich korytarzykach i zakątkach, wśród których łatwo się zgubić, jednak z paradną salą balową i plafonami w stylu epoki.

Wracając do eksponatów nowopowstałego muzeum należy zaznaczyć, że tu Konstanty Stanisławski pokazany jest przede wszystkim od strony życia prywatnego i rodzinnego.

Całokształt jego twórczości reżyserskiej i aktorskiej, bogato udokumentowany zawiera muzeum specjalne przy „Teatrze Artystycznym".

W byłym pałacyku Jermotowa jeden z najbardziej imponujących okazów stanowią szafy ozdobne, w których można oglądać wszystkie wydania pamiątkowego dzieła Stanisławskiego „Życie moje w Sztuce" w licznych, mniej i bardziej luksusowych edycjach oraz w nieskończonej ilości przekładów na różne języki. Poza szeregiem gablot z pięknymi autografami oraz przedmiotami pamiątkowymi, drugim „gwoździem" nowego muzeum jest nieduża sala, której całe ściany wytapetowane są fotografiami. Cały rodowód Stanisławskiego Aleksiejewa aż do praszczurów, ledwie że nie komplet całej bogatej kupieckiej rodziny moskiewskiej, z której pochodził niezwykły twórca „Teatru Artystycznego" a wiele zdjęć z jego początkowej, na poły jeszcze amatorskiej działalności aktorskiej, doskonale dopełnia tę arcycenną ikonografię.

Pieczołowicie i umiejętnie rozbudowane „Muzeum im. Stanisławskiego" pod wieloma względami wzbogaca skarbiec muzealny stolicy radzieckiej.

Paweł Ettinger

Federico Garcia Lorca w „Placówce"

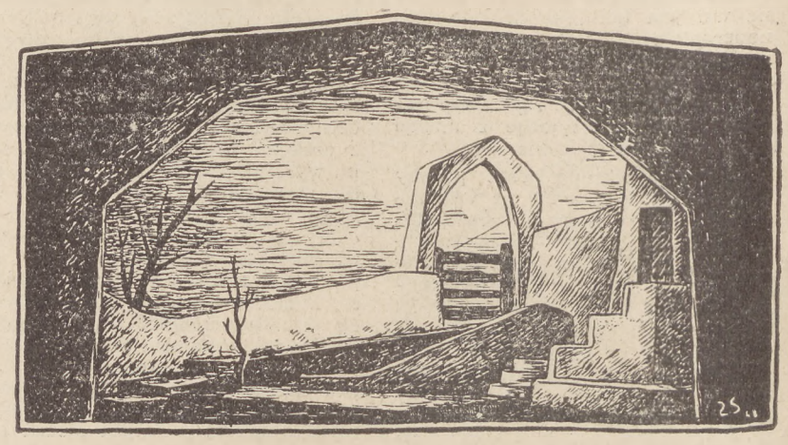

Projekt dekoracji Z. Strzeleckiego do drugiego aktu „Krwawych godów".

Państwowy Teatr Wojska Polskiego z Łodzi „Placówka". **Federico Garcia Lorca:** „Krwawe gody", tragedia w trzech aktach, siedmiu obrazach. Przekład: **Mieczysław Jastrun.** Muzyka: **Witold Lutosławski.** Reżyseria: **Józef Wyszomirski.** Dekoracje i kostiumy: **Zenobiusz Strzelecki.**

Jedni piszą, że to ballada ludowa, inni (także Stefania Ciesielska-Borkowska w „Łodzi Teatralnej"), że tragedia przeznaczenia. Tragedią przeznaczenia „Krwawe gody" nie są w żadnym razie. Postacią tragiczną jest Edyp Sofoklesa: jeszcze zanim przyszedł na świat, przeznaczenie przez usta Pytii delfickiej orzekło, że stanie się ojcobójcą i że poślubi swą matkę; Edyp nie potrafi uciec przed tym wyrokiem — im bardziej usiłuje zapobiec katastrofie, tym bardziej się do niej zbliża. Nie ma w nim „winy tragicznej", bo cechą bohatera tragedii przeznaczenia jest właśnie n i e w i n n o ś ć; przecież Edyp zabija ojca w obronie własnej, napadnięty przez jego świtę, a matkę poślubia nie wiedząc, że to matka, i niejako z woli ludu, który ofiaruje mu królestwo i królowę w nagrodę za zgładzenie Sfinksa. Natomiast w „Krwawych godach" wszyscy są winni, nie najmniej Matka, która wychowuje syna w atmosferze zbrodni i namawia go do pogoni i zemsty.

„Krwawe gody" składają się właściwie z dwóch dramatów. Pierwszy napisał tęgi w rzemiośle realista, — drugi symbolista, i to symbolista nieomal młodopolski.

Pierwsze dwa akty gorące, namiętne i krwiste. Zbudowane bez zarzutu; ekspozycja po prostu wzorowa. Dialog pełen niespodzianek, ale poszczególne jego frazy łączą się ze sobą w żelaznej konstrukcji. Znajomość sceny, umiejętność operowania szlachetnymi efektami teatralnymi u trzydziestoletniego autora zdumiewająca. Nawet tam, gdzie obraz wypada mu zbyt kuso i gdzie musi go sztukować rozgadaną trochę kołysanką o czarnym, czarnym koniu i szarej klaczy (chodzi prawdopodobnie o karego konia i siwą klacz), akcję podtrzymuje mocno nastrojem i dzięki temu tempo się nie zwalnia.

W akcie ostatnim akcji zostało niewiele, może na dziesięć minut wszystkiego. Wtedy Lorca rozwadnia ją, przeciąga sadystycznymi retardacjami i naiwną symboliką, nastroikami — „ciemno wszędzie, głucho wszędzie" — Księżycem, Drwalami, Żebraczką-Śmiercią, — wierszowaną stękaniną: widzimy nagle jakieś hiszpańskie „Dziady" i hiszpańską „Noc listopadową", tyle, że bez odchylenia nacjonalistycznego, czyli bez „nocy narodowych", jak mówi Brandstaetter.

O twórczości Federico Garcii Lorki wiem tylko tyle, ile wyczytałem z „Łodzi Teatralnej" i kilku artykułów w pismach. Ciesielska-Borkowska pisze, że „jego dramaty są raczej epizodami twórczości poetyckiej. Lorca jest przede wszystkim poetą, interpretatorem zbiorowej duszy ludu hiszpańskiego". —Innymi słowy: dramaty pisał niejako na marginesie swej twórczości. Ale pięć pierwszych obrazów „Krwawych godów" i jedna czy dwie sceny siódmego dowodzą, że Lorca był urodzonym dramatykiem; zamordowano go, nim zdążył się wypowiedzieć pełnym głosem.

Reżyser „Krwawych godów" poszedł drogą fałszywą, pozwalając dominować tonowi dwóch ostatnich obrazów w całym utworze. A powinien był wygrać od pierwszych scen pasję autora, którą czuje się nawet w tej nieudałej inscenizacji, i dostosować akt trzeci do dwóch poprzednich. Tymczasem na scenie od początku miast pasji i krwi — hekubowość i kassandryczność, wszyscy chodzą jak za pogrzebem, o śniadaniu mówią jak o stypie, kwękają — chyba że od czasu do czasu ktoś krzyknie ni w pięć, ni w dziewięć. I kontrasty, porozmieszczane mądrze przez autora, zamazują się prawie zawsze.

Tej miary aktorka, co **Ewa Kunina** potrafiłaby zagrać Matkę, jaką sobie wyobrażał Lorca; ale według koncepcji **Wyszomirskiego** musiała być eurypidesową Hekubą i Kassandrą, która z góry wie dokładnie, jak się cała historia skończy. Istotnie — w tej interpretacji reżyserskiej i aktorskiej „Krwawe gody" robią wrażenie tragedii przeznaczenia, którą przecież nie są.

Stefan Śródka wyraźnie cierpiał, że nie może pędzić bez hamulców. Próbowali to uczynić z większym powodzeniem **Ryszarda Hanin** i **Zdzisław Szymański,** ale i na nich padał czarny cień tragicznej Matki. Chłopcy z lasu i Żebraczka, celebrujący „Noc listopadową" **(Possart, Maciejewski, Pilarski, Dejmek** i **Laskowska),** mówili wiersz pięknie i z umiarem.

Scenograf **Zenobiusz Strzelecki** daremnie walczył z ciasnotą sceny: sztuka rozgrywała się jak gdyby w przedsionkach i komórkach. Ale wystawa jego prac scenograficznych, urządzona w foyer „Placówki", prezentuje nam Strzeleckiego jak najkorzystniej. Objedzeni do niestrawności obwarzankami i tortami Teresy Roszkowskiej, z ulgą patrzymy na wystawione projekty do „Cyda", „Hamleta" i „Edypa" — i stwierdzamy, że Strzelecki nie uległ panującej na naszych scenach chorobie, która zowie się elefantiarys dekoratorską.

Artur Marya Swinarski

Krakowskie Przedmieście

Krakowskie Przedmieście nosiło ongiś nazwę Przedmieścia Czerskiego. Dopiero, gdy wzmógł się ruch między Krakowem i Warszawą, jeszcze przed przeniesieniem stolicy Polski z Krakowa do Warszawy, ulicę wylotową do Krakowa przezwano Przedmieściem Krakowskim. Reprodukujemy ze zbiorów Aleksandra Kraushara widok Krakowskiego Przedmieścia, uchwyconego w akwareli nadwornego malarza heskodarmsztackiego, Karola Albertiego pod koniec XVIII wieku. Kościół Św. Krzyża (OO. Misjonarzy) ma jeszcze jakże charakterystyczny podjazd dla pańskich karoc, zamieniony dopiero w latach trzydziestych ubiegłego wieku na znane nam balustradowe podwyższenie z wejściem do krypty kościelnej.

sts

MARIA RZEUSKA

NA TROPACH PROZAIKÓW

W ostatnich trzech latach Kazimierz Wyka wysunął się niewątpliwie na czoło krytyki polskiej. Należy do tego pokolenia, które przed ostatnią wojną rozpoczynało wprawdzie swoją działalność, lecz nie była to bynajmniej grupa młodzików. Drukowali już od lat kilku i mieli stosunkowo skrystalizowane oblicze. Wyka z Kubackim reprezentowali wówczas środowisko krakowskie, poprzez Stefana Kołaczkowskiego grawitujące silnie ku myśli i sposobowi wypowiedzi Stanisława Brzozowskiego. Zajmowali postawę wyraźnie negatywną wobec innej grupy krytyków swego pokolenia, skupionej wokół osoby Manfreda Kridla i w znacznej mierze skłaniającej się w kierunku rosyjskich badań formalnych. Do najwybitniejszych jej postaci zaliczyć trzeba nieżyjącego już Franciszka Siedleckiego i Hoppensztanda, z żyjących Stefana Żółkiewskiego, Kazimierza Budzyka. Po wojnie grupa druga uprawia krytykę o charakterze socjologicznym głównie, zaś Wyka znalazł się również w kręgu nowych, interesujących ją spraw. Zeszedł się blisko ideowo i umysłowo z tymi, wobec których dawniej zajmował stanowisko raczej opozycyjne, chociaż co prawda zeszedł się już w znacznie innej sytuacji. Że się zeszedł dobitnie świadczy dopiero co wydany tom jego recenzyj „Pogranicze powieści", poprzedzony trzema rozprawami o charakterze teoretycznym *). Kto zna przedwojenną krytyczną twórczość Wyki i obserwował jego obfitą działalność powojenną stwierdzić musi, że jest to umysł wrażliwy, o dużej pojemności, giętki i zdolny do ciągłego rozwoju. Na przyszłość powinno by mu to również wróżyć jak najlepiej.

Podtytuł tomu „Proza polska w latach 1945—1948" lepiej charakteryzuje zawartość książki, intencje autora i jego ambicje niż tytuł główny — mechaniczne przeniesienie zagłowia pierwszej grupy trzech recenzyj. Istotnie. Omówiono tu wszystkich niemal prozaików czasu głównie powojennego i ich najznamienniejsze utwory. Układają się one krytykowi w grupy najczęściej według pokrewieństw tematycznych, czasami górę bierze problematyka lub sprawa gatunku, rodzaju literackiego. I tak w rozdziale „Wszystkie lata okupacji" znalazły się razem Żukrowskiego „Z kraju milczenia", Filipowicza „Krajobraz niewzruszony", Borowskiego „Pożegnanie z Marią". Sandauera „Śmierć liberała", Putramenta „Święta kula". Otwinowskiego „Czas nieludzki". Rozdział „Pokłon Warszawie" traktuje o „Mieście niepokonanym" Brandysa, „Powieść o polityce" jest analizą „Murów Jerycha" Brezy, „Powieść piastowska" — utworu Gołubiewa i Parnickiego, „Rzecz o żołnierskiej gromadzie" mówi o „Próbie ognia" Hołuja, wreszcie „Książki o wsi" to Buczkowskiego „Wertepy", Mortona „Inkluzowe wiano", Pogana „Ugory", Gałaja „Mysłkowice wioska mała", Gruszeckiej — „Od Karpat nad Bałtyk". Podstawą zespolenia w jednym rozdziale Kisielewskiego „Sprzysiężenia", Dygata „Jeziora Bodeńskiego", Brandysa „Drewnianego konia" i „Sedanu" Hertza jest problem rozrachunków inteligenckich. Chodzi tu o charakteryzującą tych wszystkich autorów postawę inteligencką, nieraz z próbami jej przezwyciężenia. Rozdział „Funkcja solidarnej pamięci" mówi o całej, zarówno przed, jak i powojennej twórczości Rudnickiego, o Pruszyńskiego „Trzynastu opowieściach" i „Karabeli z Meschedu". Szmaglewskiej „Dymy nad Birkenau", Pruszyńskiego „Droga wiodła przez Narvik" i Andrzejewskiego „Noc", dość niespodziewanie również znalazły się obok siebie, a to dlatego, że reprezentują zagadnienie „pogranicza powieści". Nałkowskiej „Medaliony" i Dąbrowskiej „Ludzie stamtąd" to dla Wyki przede wszystkim „sprawa prozy" i uroków realizmu. W rozdziale „Oblicze świata" scharakteryzowano powojenną twórczość Iwaszkiewicza.

Tak ugrupowane recenzje nazywa autor „Sprawdzeniami". Zajmują one cztery piąte całości tomu i zostały przeciwstawione części I, „Zapowiedziom i postulatom", które mieszczą trzy studia: „Tragiczność, drwina i realizm", „Żywotne tradycje prozy polskiej", „Po dwóch wojnach". Mają one charakter teoretyczny, rewizyjno - sprawdzający prozę sprzed pierwszej wojny i dwudziestolecia i wytyczający drogę przyszłości.

Już z tego schematycznego przeglądu powinno by wynikać, że książka jest interesująca podwójnie: i jako obraz krytyki ostatnich lat trzech w jej najbardziej wydatnym reprezentancie, i jako podsumowanie oraz teoretyczne naświetlenie zdobyczy prozy w tym samym czasie. Co do momentu pierwszego sytuację utrudnia, a trochę i zniechęca „nota wydawnicza", z której okazuje się, że teksty wszystkich recenzyj i studiów „zostały przystosowane do wydania książkowego". Istotnie — prócz kilku — wszystkie pozycje w ciągu lat trzech drukowane w najbardziej znanych pismach literackich: w „Kuźnicy", „Odrodzeniu" „Nowinach Literackich", „Dzienniku Literackim" i w „Twórczości" uległy przerobieniu. Gdyby autor podał przedruki dosłowne, książka mogłaby odzwierciedlać obraz jego rozwoju, tak jak jest, charakteryzuje przede wszystkim wygląd obecny jego osobowości twórczej i z tego tylko punktu widzenia rzecz rozpatrzymy.

Co najbardziej interesuje Wykę przy rozważaniu utworów? Dla krytyka istnieje w tym zakresie prawie nieskończona ilość możliwości i nie jest sprawą obojętną, którą z nich wybierze. A łączy się z tym doniosłej wagi kwestia dalsza, czy potrafi zachować konsekwentne, jednolite stanowisko, czy jest indywidualnością krytyczną o zdecydowanym, harmonijnym obliczu. Dla krytyka-psychologisty np. każde zjawisko i każdy element dzieła zarówno tzw. formy jak i treści bywa zwykle przejawem struktury psychicznej twórcy. Krytyk-filolog skłonny jest uwydatniać wszelkiego rodzaju filiacje i zależności, dla skrajnego formalisty istnieje tylko „chwyt", dla socjologa każdy przejaw pośrednio lub bezpośrednio „zdradza" swoje źródła społeczne. Jeżeli ta lub inna postawa utrzymana jest konsekwentnie, a rezultaty naukowe postaw innych i ich zdobycze zostały „przetłumaczone", jak się mówi, na jej język i w tym języku zinterpretowane oraz wyłożone, otrzymujemy poznanie prawdziwe, wprawdzie pod pewnym kątem, ale przecież harmonijne i wyczerpujące. Wszelki zaś eklektyzm polega właśnie na braku jednolitej postawy umysłowej, na zespoleniu bez ujednostajnienia różnych typów ujęcia, często nawet ze sobą sprzecznych. Powstaje wówczas poznanie przedmiotu rozproszone, przeważnie zresztą cząstkowe tylko, a bywa, że nie ma go wcale. Zdobycie zatem jednolitej postawy krytycznej jest, wydaje mi się, jedną z najbardziej dla recenzenta na właściwym poziomie— ważnych spraw, i to nie najłatwiejszych bynajmniej.

Nie z przypadku poruszam tę kwestię. Myślę, że dla Wyki jest ona bardzo aktualna. Dąży on już przecież ku swej kulminacji, a jeszcze nie zdobył sobie, ściśle — zdobył w zbyt małej mierze — harmonię i jednolitość metody krytycznej. Nie ulega wątpliwości, że do jej zdobycia ma już znaczne dane, to znaczy wie, czego ma ze swego punktu widzenia szukać, lecz w analizach konkretnych gubi się jakby i tylko częściowo realizuje swoje teoretyczne założenia.

Te właśnie teoretyczne założenia poznajemy z trzech artykułów wstępnych. W ich świetle jest to krytyk jeżeli jeszcze nie całkiem— socjolog w obecnym znaczeniu tego wyrazu, to jednak wyraźnie socjologizujący. Włącza się przede wszystkim całkowicie do wypowiedzi tych, którzy uważają, że polska proza powojenna powinna być realistyczna, że powinna ukazywać przemiany chwili obecnej. I wraz z tymi zajmuje niewątpliwie postawę krytyczną normatywizującą. Oto jedna z charakterystyczniejszych w tym względzie wypowiedzi: „Ponieważ wielka sytuacja realistyczna Polski dzisiejszej powstaje właśnie z przemiany społecznej, zatem ten realizm, który umie dostrzec te przemiany, a nawet je przewidzieć, jest najbardziej upragniony". „Witamy chętnie każdego i z nazwiska wymieniamy... kto zdoła prawdzie czasu dać wyraz... Realizm czeka na wszystkich".

Rozumie się, że żaden literacki prąd nie rodzi się z nicości. Nawet Minerwa wyskoczyła z głowy Jowisza. Drogą normalną i najsłuszniejszą poszukuje Wyka źródeł najnowszego realizmu polskiej prozy, a także stara się wskazać punkty oparcia dla niej w realizmie powieści światowej czasów przeszłych.

By sięgnąć do źródeł, dokonuje pobieżnego przeglądu różnych typów realizmu i widzi ich trzy. Typ pierwszy, wywodzący się z „pasji satyrycznej" reprezentuje Balzac i Flaubert, typ drugi — „pełnię realnej obserwacji" — Lew Tołstoj, typ wreszcie trzeci — Dickens i Turgieniew, u nas Prus. Otóż typ pierwszy — Balzaka i Flauberta, jest tym właśnie realizmem, do którego powinna nawiązać nasza najnowsza proza. A dlaczego? Dlatego, że „...realizm pasji satyrycznej najsilniej się wiąże z napięciem typowych sprzeczności rozwoju kapitalistycznego". W przeszłości polskiej wyraźnego i właściwego oparcia dla nowej powieści i noweli Wyka nie widzi. Żeromski za liryczny, Reymont za mało kulturalny. Najbardziej żywotna wydaje mu się proza gdzieś z pogranicza Prusa i Żeromskiego. I do niej jeszcze może warto by nawiązać. To są życzenia i propozycje, faktem zaś jest, że najmłodsza polska proza wyrasta z dwudziestolecia. Czy z realizmu dwudziestolecia? O, nie! Nie było go w tych smutnych czasach, poza liczonymi wyjątkami, prawie wcale. Nazwa „neo-realizmu" zaś, stosowana do owczesnej twórczości powieściowej, jest właściwie nieporozumieniem. Realizm pisarzy, którzy teraz coraz pełniej dochodzą do głosu, kiełkuje „z posiewu tragiczności i drwiny", z tej negatywnej postawy, jaką zajęli wobec rzeczywistości dwudziestolecia. Wówczas było to pokolenie katastrofistów (urodzeni około r. 1910), po drugiej wojnie światowej weszło w nową, pozytywną fazę realizmu. Twórczość niejednego z nich znalazła się już na takiej drodze (Filipowicz, Rudnicki, Sandauer), ze swą problematyką moralną i ludzką daje odwet egzystencjalizmowi.

Jakże w świetle tych wszystkich zapowiedzi i postulatów wyglądają „Sprawdzenia"? Odpowiemy — a zresztą i rozumiemy — łatwiej postulować niż postulaty realizować. Jednolita na ogół teoretyczna postawa Wyki jest — powiedziałabym — indywidualistyczna i różnoaspektowa. Mamy tu do czynienia z jeszcze nieujednoliconymi różnymi systemami „języków" — opisu i ocen. Psychologizm sąsiaduje o miedzę z ujęciem formalnym i socjologicznym, nieraz słyszymy nawet pogłosy fenomenologicznych ujęć Ingardena.

Gdy czytamy poszczególne recenzje, stwierdzamy od razu, że analiza idzie nie tyle w kierunku „sprawdzenia" danego utworu w perspektywie pewnych naczelnych założeń, ile raczej, przede wszystkim w kierunku odczytania — możliwie jak najwierniej — danego autora, zrozumienia jego intencyj, poznania jego psychicznego „świata" i „klimatu", a również — i to w dużym stopniu — „środków artystycznych", stosunku „akcji do rzeczywistości". Idąc tropami pracy pisarzy, zahaczając nieraz o ich warsztat, stara się Wyka przewidzieć, co z tego lub innego autora jeszcze „wyrośnie". Ponieważ zaś, jak się już powiedziało, jedną z naczelnych i chyba bardzo pięknych jego cech jest wielka życzliwość dla nich, więc od czasu do czasu recenzje miewają odcień jakby pedagogiczny. Indywidualizujący stosunek do pisarzy, niejednokrotnie połączony z rezygnacją z własnych założeń teoretycznych, nie zawsze jednak daje rezultaty pozytywne. Jeżeli Wyka bardzo chwali np. obie, a tak biegunowo różne typy pisarskie, jak Nałkowska i Dąbrowska, to zatracamy podstawy kryteriów jego ocen. A że posługuje się przy tym różnymi rodzajami „języków" — nie możemy uchwycić, jakie są istotne różnice lub podobieństwa czy pokrewieństwa między twórcami i ich dziełami. Jeden posługuje się takim a takim „chwytem" (ten, bardzo brzydki termin formalizmu Wyka lubi), tamtego „plazma psychiczna" jest znów taka, problemy psychologiczne zaś takie, inny oddaje dobrze prawdę przeżyć. Ów wreszcie tyle fikcji a tyle elementów rzeczywistości zawarł w swym opowiadaniu. Nie byłoby prawdą twierdzenie, że Wyka nie „sprawdza" wcale. „Sprawdza" od czasu do czasu, lecz ma się wrażenie, że nieco jakby bez planu, tak wyraźnie we wstępie zarysowanego.

Kogo wysuwa Wyka na czoło współczesnej polskiej prozy, kogo zaś ocenia ujemnie? Najwięcej pochwał dostało się Nałkowskiej za „Medaliony", Szmaglewskiej za „Dymy nad Birkenau". Ze starszych pisarzy w wielkiej estymie ma Dąbrowską i Iwaszkiewicza. Dąbrowska — autorka nie „Nocy i dni", lecz „Ludzi stamtąd". Wydaje mi się jednak, że kto sobie ceni Balzaka, musi w „Dniach i nocach" widzieć mnóstwo cech jego pasji malowania środowiska. Z autorów pokolenia ongiś tragicznie drwiącego, obecnie skłaniającego się ku realizmowi lub też wyrażającego się w realizmie; szczególnie życzliwie naświetlono twórczość Filipowicza, Żukrowskiego, Putramenta. Z dużymi zastrzeżeniami, zdaniem moim jak najsłuszniejszymi, odnosi się Wyka do Pruszyńskiego. Uwagi zawarte w recenzjach o nim wydają mi się najwnikliwsze. Uderzyło mnie zwłaszcza następujące stwierdzenie, zarówno swą myślową treścią, jak też szczególną dobitnością sformułowania: „Jest to temperament pozorny. Gatunek prozy ruchliwy tylko po wierzchu, ale sztywny wewnętrznie". Słusznie bardzo typ prozy Pruszyńskiego wiąże krytyk z Sienkiewiczem. Ponadto ujemnie też ocenia twórczość powojenną pisarzy, którzy za przedmiot przedstawienia obrali sobie wieś i stosunki panujące na wsi. Wiele spośród ich utworów, jak twierdzi, posiada wartość dokumentarną, na wyższy jednak poziom artystyczny nie wzniósł się żaden.

Czy więc Wyka swymi recenzjami, zebranymi w tej książce, dał obraz literatury trzech lat powojennych w zakresie prozy? Wydaje się, że raczej nie. Raczej zarysował szereg interesujących na swój sposób „portretów", których porównywać albo nie możemy wcale, albo możemy je porównać, ale na ograniczonej przestrzeni. Kto wie, czy nie dlatego jeszcze, że Wyka jest daleko lepszym obserwatorem i analitykiem niż syntetykiem. Nie kłóci się to wcale z faktem, że jego wywody teoretyczne są bardziej jednolite niż recenzje. W recenzjach znajdziemy mnóstwo subtelnych, przenikliwych spostrzeżeń, rzadko jednak jakąś konsekwentnie przeprowadzoną myśl główną, naczelne przeświadczenie krytyczne.

Jest jeszcze coś, czego nie powinno się zatajać — język Wyki. Wyka ciężko cierpi na brak prostoty, na przerost ekspresyjności. Brak prostoty polega na budowaniu długich, skomplikowanych okresów zdaniowych, trudnych nieraz do zrozumienia. Obciąża je ponadto niezmiernie metafora i tendencja do tworzenia epatujących sformułowań. Widzieliśmy — i tak bywa nie rzadko — że rodzą się stąd powiedzenia świetne, obrazujące rzecz czy sprawę w sposób znakomity, lecz napotykamy na takie ujęcia, które są raczej przykre, jak np. „Naczynia charakterologiczne użytkowane przez Brezę w swojej zasadzie konstrukcyjnej, nie w swoim konkretnym wyglądzie, podobne są do naczyń użytkowanych przez Kadena i to czytelnik dostrzega. Te naczynia u obydwu porównywanych pisarzy są trudne" (251) Inny przykład. Dotychczas nie rozumiem co to znaczy: „Dlatego w tej prozie występuje tylko jedno ryzyko: doświadczeń historycznych i ludzkiej dla nich formy; po redukcji, jak w równaniach arytmetycznych — r y z y k o l u d z k i e". (193) Najprostsze już zasady językowo-składniowe i estetyczne łamią następujące zwroty: „Poza jedyną skutecznością, że on swoją, co drugi dzień oddawaną zupą księdza jako człowieka ratuje..." „Ale tu znów do głosu zgłasza się czytelnik ze swoim wrażeniem". (251)

Pisze gdzieś Wyka: „Dobra forma jest warunkiem prawdy" — i ma rację. Głównym celem krytyka jest opisać charakter utworu i poddać go ocenie — czyli osiągnąć pewien rodzaj poznania. Język służy poznaniu i jeżeli zbyt bujnie rozrasta się i krzewi „sam w sobie" i „sam dla siebie" — wyradza się i zatraca swe podstawowe cele. Rozumiemy dobrze, że metafora jest potężnym środkiem „przybliżenia prawdy", jednak gdy przeciąża tok wywodu, zasłania ją raczej. Przytoczmy na zakończenie słowa samego Wyki, zwrócone do jednego z prozaików: „Sądzę, że nie będę złym doradcą dla autora... jeżeli w następnych tomach doradzę mu — by jego sposobów mówienia użyć — k a r c z u n e k b a r o k u. Jego dalsza praca nad stylem powinna polegać na podcinaniu przesadnej (metafory)*), której wynikiem zbyt często bywają po prostu zarośla werbalistyczne w miejsce zamierzanej precyzji. Bo zdrowy i zdolny do wzrostu las wystarczy przerzedzić, by nabrał wymowy".

Maria Rzeuska

*) **Kazimierz Wyka.** Pogranicze powieści. Proza polska w latach 1945—1948. Kraków. Wyd. M. Kota, 1948; str. 389 i 3 nlb.

*) Wtręt mój.

JANINA GARBACZOWSKA

Stefan Żeromski autentyczny

Na tle rewizjonizmu w stosunku do arcydzieł dawniejszej literatury polskiej jest niewątpliwie zdarzeniem wielkiej wagi wznowienie dzieł wszystkich Żeromskiego*).

I tego pisarza wzięto ostatnimi czasami pod obstrzał krytyczny. Krytyka dotycząca Żeromskiego nie jest zresztą zjawiskiem nowym; ogółem biorąc nie jest też społecznie szkodliwa, przeciwnie, w wielu punktach słuszna i konieczna. Jeśli wziąć pod uwagę najbardziej znamienny i uderzający w twórczości autora „Ludzi bezdomnych" typ „człowieka judymowego", to już nie w krytyce literackiej, ale w literaturze pięknej czasu przedwojennego został on odczarowany przez Jana Wiktora, w „Orce na ugorze".

Doczekał się Żeromski zarzutów i jako skrajny pesymista, wierzący we wszechwładztwo zła, które gości w najszlachetniejszych. Atakuje się go za wybujały erotyzm, który niszczy siły twórcze człowieka. Nie przepuszcza mu się jego romantycznej postawy społecznej, która na plac walki o dobro pokrzywdzonych wysuwała zawsze jednostkę.

Jeżeli trzeźwo zgodzić się musimy z faktem, że te wszystkie elementy są w twórczości Żeromskiego czynnikami istotnymi, jeśli — co więcej — potwierdzimy konieczność zrewidowania stosunku zaczadzonych urokiem słowa poety czytelników do takich ujęć, nie wolno nam ani na chwilę zapomnieć o tym, że niemal wszystko, za co go krytykuje nasza współczesność, wyszło z najwyższego przykazania moralnego, które się zrodziło z najboleśniejszego współczucia z człowiekiem cierpiącym. To przykazanie brzmi: zmniejszać zło panujące w świecie. A złem największym jest — krzywda bliźniego.

Budziciel sumień polskich, który z pasją żarliwca przeciwstawił zapasiony „Obrzydłówek" ascezie człowieka czującego, nie straci na aktualności dopóty, dopóki zło — choćby w stanie szczątkowym — będzie się plątać po świecie.

I jeszcze jedno: nie wstydźmy się przyznać, że w dziełach Żeromskiego wyraża się każda nasza, ludzka i polska, dusza — w najwszechstronniejszej skali i bogactwie doznań; wyraża się już to wprost, przez przeżycia bohaterów, trafiając do nas bezpośrednio, już to w cudownych obrazach przyrody, które nigdy nie są ściśle malarskie, bo zawsze przeniknione tym, „co się w duszy komu gra".

Dzieła Żeromskiego są tworami człowieka po brzegi wypełnionego człowieczeństwem i tworami Polaka po brzegi wypełnionego polskością.

*

Toteż inicjatywę „Czytelnika", który powierzył profesorowi Stanisławowi Pigoniowi obowiązek wydania dzieł wszystkich Żeromskiego, wita z radością ogół polskich czytelników.

A trud to nie byle jaki: trud naukowca - polonisty, wytrawnego filologa i — w szczególności — znawcy Żeromskiego, tzn. autora, który dotychczas nie miał szczęścia do wydawców.

Rzecz nie do wiary, że dorobek twórczy tego czołowego pisarza nie był nigdy przedmiotem świadomej opieki wydawców i każda edycja następna kultywowała błędy stare a przydawała nowych; beztrosko obcinano teksty, mnóstwo tam pomyłek przekręceń słów, krótko mówiąc, im świeższe wydanie, tym było mniej poprawne, tym bardziej skażone.

Nowe odpowiedzialne wydanie dzieł Żeromskiego było potrzebą palącą.

Prof. Stanisław Pigoń zorganizował pracę zespołowo. Grupy studentów polonistyki UJ — po trzech — w lekturze wspólnej, a więc dającej gwarancję możliwie ścisłej kontroli, konfrontują wszystkie wydane za życia Żeromskiego teksty jego utworów, notują różnice, wyławiają niejasności, nieścisłości i opuszczenia. Cały materiał wraz z litanią momentów wątpliwych idzie do profesora, który po dyskusji z młodymi współpracownikami feruje wyrok ostateczny: ustala tekst, uzasadniając jego wygląd „notą redakcji" na końcu każdego tomu.

Nie myślcie, że „nota" jest tworem dostojnej nudy filologicznej. Kogo pasjonują losy bohaterów Żeromskiego, ten z równą pasją chłonie historię tekstu, żywą i krwią tętniącą. Ten się przekonywa, że ta historia tekstu jest czasem — podobnie jak dzieje Judymów — historią walki z szatanem, który się lągł to w cenzurze carskiej, to w duszy samego pisarza, a czasem jest historią sosny rozdartej gdy jedną i tę samą powieść (jak „Syzyfowe prace" czy „Zamieć") drukowano jednocześnie w zaborze austriackim i rosyjskim, oczywiście w dwu różnych redakcjach.

Bo czyż nie są powieścią o powieści noty do „Syzyfowych prac" i — zwłaszcza — do „Zamieci"? Metamorfoza „Syzyfowych prac" na „Radka Andrzeja" (było takie wydanie cenzuralne tamtej powieści) — to nie mechaniczne przemianowanie utworu i zamaskowanie ładunku patriotycznego. Tego dokonał — po swojemu — cenzor. Żeromski spełnił tu rolę inną: z pasją literata pełnej krwi wycyzelował swą powieść specjalnie dla czytelników z Królestwa. Zrobił to starannie, pieczołowicie, chciał im dać — jakby w nagrodę za pokreślenia cenzorskie — tekst w pozostałej części nieskazitelny, wzorowy, wypieszczony. Tymczasem ten właśnie tekst, ukształtowany ostatecznie przez autora w r. 1910, właściwie przepadł. Późniejsze wydanie powieści dla całej Polski z r. 1919, było znów mechanicznym przedrukiem dawnych edycji galicyjskich i nie uwzględniało tamtych, licznych i znacznych, poprawek autora. Te i inne, zawikłane perypetie tekstu zostały przedstawione w nocie redakcji.

A dzieje „Zamieci"? Toż to romans aż tragiczny, historia tekstu, którego cenzorem ale... obyczajowym, okazał się sam Żeromski. Powieść tę drukowano w czasopismach w r. 1916, a więc w momencie kulminacyjnym zmagań wojennych. Konfrontacja wybujałego jej erotyzmu z okrucieństwem wojny światowej narzuciła pisarzowi nakaz moralny usunięcia z książki wszystkiego, co nie licowało z powagą chwili dziejowej. Toteż atakowany listami autora bezradny wydawca warszawski, nie chcąc wycinać całych wielkich partii tekstu, przerwał drukowanie utworu w redagowanym przez siebie czasopiśmie. Surowy autor — cenzor nie przywrócił opuszczeń nawet w wydaniu książkowym. W walce z szatanem sam wyszedł zwycięsko. Wydawca dzisiejszy uprzystępnia czytelnikowi wszystkie te skreślenia, oczywiście nie w tekście głównym, ale w dodatku.

*

Dzisiejsze wydanie „czytelnikowskie" utworów Żeromskiego jest więc wydaniem krytycznym w tym znaczeniu, że daje tekst wydobyty spod narosłej skorupy błędów korektorskich, oparty zawsze na tym spośród wydań drukowanych za życia autora, które bezspornie nosi ślad jego własnej opiekuńczej ręki. Przynosi więc tekst autentyczny i definitywny.

Żeby go uzyskać, nie dość jest, rzecz jasna oprzeć się na ustalonym wydaniu podstawowym i niewolniczo je przedrukować. I ten tekst podstawowy nie zawsze bywa nieskazitelny. I w nim częstokroć kryją się usterki. Zwięzłe zestawienie wszystkich różnic zachodzących między wydaniami drukowanymi za życia autora pozwala usunąć owe zakapturzone miejsca zepsute. Reszty dopełnia uważna kontrola filologiczna, która wskazuje miejsca koniecznych sprostowań.

Przykład uprzytomni zastosowaną metodę ustalenia tekstu. W „Syzyfowych pracach" zarówno w pierwodruku jak i w wydaniach późniejszych, pomylił Żeromski autorów: „Rozmowy zmarłych" przyznał Lukanowi zamiast Lukianowi, a autorem „Wspomnień" o Sokratesie zrobił Platona zamiast Ksenofonta. Błąd figuruje we wszystkich wydaniach — z wyjątkiem jednego. Ale skoro się udało ustalić, że korektę tego właśnie jednego robił sam Żeromski, nie było wątpliwości, że pomimo tego zasiedzenia błąd ów należy usunąć z wydania poprawnego. Otóż takich przywróceń brzmienia należytego jest w ostatnim wydaniu całe mnóstwo.

Każdy wydawca wie, że najzłośliwszą plagą wszystkich przedruków są omyłki tzw. haplograficzne. Jeżeli w tekście znajdują się blisko siebie zdania albo człony zdań zaczynające się od tych samych słów, można być prawie pewnym, że śpieszne oko zecera przeskoczy z jednego początku na drugi, a to, co było w środku, opuści. Jeżeli mimo takiego opuszczenia zdanie daje sens jako tako poprawny, powstałego skażenia nie zauważy także korektor i usterka skamienieje na długo. Żeby ją wyłowić, konieczna jest korekta tzw. na cztery oczy. Takich właśnie zniekształceń było w tekstach Żeromskiego całe mnóstwo. Robiono o to sprawę nawet w prasie. I tego rodzaju pomyłki znikły z ostatniego wydania całkowicie.

Osobną kategorię stanowią poprawki wyprowadzone do tekstu tam, gdzie błąd zagnieździł się we wszystkich wydaniach. Tutaj ma pole bystrość krytyczna wydawcy. Poprawki wprowadzone w wydanie ostatnie są bezsporne i w wielu miejscach przywracają tekstowi właściwy sens. Jeżeli w wydaniach dotychczasowych ktoś „szeptał bezwdzięcznie", rzecz jasna, że teraz dano należyte „bezdźwięcznie". Ktoś inny mówił stylem „metafizycznym" zamiast „metaforycznym". Jeżeli jakiś zaśniedziały zachowawca sarka tam na „kroki nowotworów", rzecz jasna, że wprowadzono słusznie „nowatorów". Jeżeli ktoś przysłuchujący się sporowi przygania tym „alternacjom", rzecz jasna, że słusznie wypadło to poprawić na „alterkacje". Jeżeli ktoś spogląda na czarne fale „w oku kłębiastych drzew", rzecz jasna, że zmieniono słusznie na: „wokół" itd., itd., można by przykładów takich wybrać całe naręcze z tomów dotychczas wydanych. Nie trzeba osobno zaznaczać, że każda taka zmiana jest wskazana i uzasadniona w „notach redakcji".

Po dotychczasowych wydaniach Żeromskiego niedbałych, okaleczałych, dziurawych — czytelnik może wziąć z ulgą wydane tomy edycji zbiorowej: oto **nareszcie Żeromski autentyczny.**

Na osobną uwagę zasługuje szata zewnętrzna wydawnictwa, piękna i ujmująca szlachetną prostotą. Papier, krój i zróżniczkowanie czcionek, rozmieszczenie rozdziałów — wszystko to było widać przedmiotem starannej troski. Korekta nienaganna. Powiedział gdzieś Mickiewicz, że z książkami bywa jak z dziećmi: najtrudniej je myć i czesać. Tomy wydania zbiorowego dzieł Żeromskiego wychodzą wymyte i wyczesane — na pokaz.

W szeregu pisarzy „wyłączonych" przez państwo wysuwa się na czoło edycja pism Żeromskiego, który zarówno ilością tomów wypuszczonych w świat (za sześcioma wydanymi idą wnet: „Uroda życia", „Przedwiośnie", „Charitas") jak najwyższą jakością metody wydawniczej już osiągnął pierwsze i nieprześcignione miejsce.

Janina Garbaczowska

*) **Stefan Żeromski**, Pisma. Pod redakcją **Stanisława Pigonia.** Warszawa, „Czytelnik", 1948. Ukazały się: „Syzyfowe prace", „Promień", „Ludzie bezdomni", „Wierna rzeka", „Nawracanie Judasza", „Zamieć".

Wrześniowe refleksje

Jesienią 1943 roku w jednym z warszawskich pism konspiracyjnych wydrukowano osobliwy dokument. Był to plan zniszczenia naszej stolicy, zawierający wszystkie, metodycznie ustalone, szczegóły: system palenia, materiały, których przy tym miano użyć, organizację specjalnych oddziałów pod nazwą „Brenn - und Vernichtungskommando", wreszcie tempo i kolejność pracy niszczącej ze szczególnym uwzględnieniem dzielnic, domów i obiektów o wielkiej dla Polaków wartości ekonomicznej, kulturalnej, czy historycznej. Akt nosił u dołu dwa najważniejsze w Trzeciej Rzeszy podpisy: Hitlera i Himmlera.

Nie wiem, czy był to dokument autentyczny. Ale w tragicznych dniach 1944 roku myślałem nieraz jak ściśle sprawdzał się niejeden punkt owego programu.

Z trudem i wysiłkiem odrabiamy dziś ten akt, przywracając Warszawie nie tylko jej budynki i ulice, ale i jej charakterystyczne cechy, jej niełatwy, niecodzienny urok. Pamiętam miasto jeszcze z okresu przed pierwszą wojną światową. Urodzony i wychowany w Krakowie, łagodnym, spokojnym i cichym, przyjeżdżałem jako dziecko raz na rok do Warszawy, zazwyczaj na wiosnę. Mieszkaliśmy najczęściej u stryja mojej matki, lekarza Ignacego Baranowskiego, w olbrzymim domu przy Krakowskim Przedmieściu, posiadającym aż dwie oficyny i trzy rozległe podwórza. Okna mieszkania wychodziły na Plac Saski, gdzie stała cerkiew, narzucona Warszawie przez carat. W prawosławną Wielkanoc rozbrzmiewały z tej cerkwi nieustannie bijące dzwony, które słyszeliśmy nawet nocą — poprzez szyby i okiennice.

U dziadka naszego bywał częstym gościem starszy pan o gęstej brodzie — którego lękaliśmy się bardzo, ponieważ miał zwyczaj chwytania dzieci, podnoszenia w górę i całowania. Gdy dorosłem, dowiedziałem się dopiero, że pan ten nosił nazwisko Aleksandra Głowackiego, a literacki pseudonim — Bolesława Prusa.

Wiele lat później, wiosną 1938 roku, wracając — w ulewny deszcz — z jakiegoś pogrzebu Krakowskim Przedmieściem, doznałem niespodziewanego olśnienia. Jakież tu było wszystko piękne, majestatyczne, śmiałe, spokojne i harmonijne! Dom stał koło domu, jak je ustawiła historia bez żadnej troski o miejsce, bez — charakterystycznego dla wielu miast — ścieśnienia. Te ulice powstawały w okresie, gdy Rzeczypospolita była wielkim — i pokojowym, nieagresywnym, tolerancyjnie nastrojonym państwem. Nie lękano się napadów zewnętrznych, a miejsca było dość na szerokich równinach mazowieckich (których urok tak pięknie wyraził za naszych czasów Władysław Broniewski w wierszu „Mój pogrzeb"). Gdzieś tylko na peryferiach dalekich, na odległość wielu dni jazdy, tliły niespokojne ognie, które miały kiedyś zagrozić całemu Państwu — i stolicy.

Ale i później, pod sam koniec dawnej Rzplitej, Warszawa była budowana z imponującym rozmachem. Arteria, łącząca Zamek Królewski z Łazienkami, stała się — jak na owe czasy — przedsięwzięciem olbrzymim. Dopiero w XIX wieku rządy carskie zaczęły ścieśniać perspektywy urbanistyczne. Pojawiły się owe smutne i brudne facjaty, wąskie podwórza bez słońca, uliczki bez jednego drzewa, dzielnice bez parków i zieleńców, bez perspektyw i radości. Pojawiły się nory, z przerażeniem opisywane przez Żeromskiego, gdzie leżało pokotem kilkanaścioro dzieci, których płucom brak było powietrza, a oczom choćby strzępu zieleni.

Mamy nadzieję, że Warszawa powstająca z ruin będzie nie tylko stolicą odbudowaną, ale i rozbudowaną, przetworzoną. Wierzę, iż hojnie będzie obdzielona pasmami zieleni. Badania statystyczne wykazały we wszystkich krajach, że istnieje stały związek zależności między wyglądem miasta, a przestępczością i obyczajami. Stwierdzono, że po wybudowaniu nowych estetycznych i rozświetlonych domów, po zwiększeniu ilości skwerów, parków i ogrodów, natychmiast spadają liczby morderstw, awantur pijackch, kradzieży i bijatyk. Między mrocznymi zakamarkami charakterów a smutkiem nierozświetlonych słońcem podwórek i niezłagodzonych kwiatami czy zielenią ulic, jest zależność — którą można ująć cyframi, tabelami i wykresami.

Wiedzą o tym dobrze pisarze. Pierwsze karty „Ojca Goriot" warto czytać z planem Paryża w rękach, a Duhamel wprowadza główną postać najpiękniejszej swej powieści „Salavin", z mrocznych zakamarków Dzielnicy Łacińskiej spoza wzgórz Świętej Genowefy.

Człowiek średniowieczny musiał budować ciasne uliczki, gdyż miasto było narażone na ataki, przeciw którym trzeba się było bronić — murami. Jednak należy rozważyć, jak olbrzymią i szeroko zakrojoną przestrzeń zajmuje Rynek krakowski. A można było przecież wydostać się z ciasnego kręgu uliczek, za którymi zaczynały się zielone pola. Ale już w wieku XVIII, w takim np. Londynie sprawa wyglądała inaczej. Howard Fast twierdzi, że w tej epoce „biedota londyńska żyła jak dzikie bestie, których dżunglą były kręte, ślepe zaułki. Żyli dżynem, grzechem i drobną kradzieżą..."

Myślę o przyszłej i pięknej, zielonej i rozbudowanej Warszawie, gdy krążę ulicami jednej z największych z odbudowujących się dzielnic: Mokotowa. Nie tak dawno, jeszcze w roku 1918, plac Unii Lubelskiej był właśnie kresem miasta, poza którym ciągnęły się trasy dwóch miniaturowych kolejek dojazdowych: Wilanowskiej i Grójeckiej.

Jedną z najszybciej odbudowujących się dzielnic Warszawy jest obecnie obszar, który śmieje się zielonymi skwerami Alei Niepodległości i starymi, bujnie rozkwitającymi drzewami ulicy Narbutta. W okresie okupacji, na każdej z ulic owej dzielnicy, niemal w każdej willi znajdowało się gniazdo patriotycznego i antyhitlerowskiego oporu. Niemieccy żandarmi i gestapowcy pojawiali się tutaj rzadziej, niż w innych dzielnicach. Ale pewnego dnia niezliczone ich mrowie znienacka otoczyło róg Alei Niepodległości i Rakowieckiej. Dwie młode dziewczyny, łączniczki niosące tajną pocztę, nagle znalazły się w potrzasku. W ostatniej chwili, jedna z nich, chcąc uratować przynajmniej koleżankę, wyrwała jej z rąk ciężką, nielegalną paczkę. Widziano wysoką i piękną dziewczynę jeszcze w parę minut później, na Puławskiej, gdy szła z uśmiechem, otoczona gęstym łańcuchem zielonej policji. To było jej ostatnie na Warszawę spojrzenie.

Mokotów, Żoliborz, Kolonia Staszica, plac Narutowicza i Filtrowa — wraz z uratowaną Saską Kępą — stanowią pierścień już żywej, nowocześnie pięknej i śmiało zakrojonej Warszawy. Równocześnie zwolna powstają z ruin centrum w obrębie Nowego Świata, Krakowskiego Przedmieścia, Starego Miasta — żywe symbole łączności z pracą pokoleń dawnych. Warszawa była zawsze droga i bliska wszystkim Polakom. Czyż najpiękniejszy opis Łazienek nie wyszedł spod pióra Krakowianina, który był tu zaledwie przelotnie: Stanisława Wyspiańskiego? Dziś Warszawa droższa nam niż kiedykolwiek, Warszawa z mostem tak szybko wzniesionym dzięki ofiarności śląskich i dąbrowskich górników— odbudowuje się i wraca do dawnej postaci. Ale równocześnie Warszawa zdaje się nakreślać drogi przyszłego rozwoju, które połączą nowoczesność z historią.

Wojciech Natanson

Czytelnicy wiejscy zajmują pierwsze miejsca w powszechnej ankiecie czytelniczej

Instytut Kulturalno-Oświatowy „Czytelnika" podaje do wiadomości, że rozesłał dotychczas 590 000 kwestionariuszy powszechnej ankiety czytelniczej do 2.430 bibliotek i instytucji oświatowych.

Nie wysłano jeszcze kwestionariuszy do wypożyczalni prywatnych i niektórych bibliotek, gdyż brak ich adresów.

W pierwszych 10 dniach maja wpłynęło 13.000 odpowiedzi, głównie od czytelników „Rolnika Polskiego". Odpowiedzi od bibliotek napływają stale.

Z wstępnego zbadania odpowiedzi wynika, że najdokładniej wypełniają kwestionariusze czytelnicy bibliotek małych. W wielu kwestionariuszach nadsyłanych z dużych bibliotek brak odpowiedzi na następujące ważne pytania:

a) jakie są główne działy lektury czytelnika (brak 15—20% wypowiedzi);
b) co czytają najchętniej (brak 10—15% wypowiedzi);
c) jakie trzy książki przeczytane po wojnie podobały się im najbardziej (brak 30—35% wypowiedzi);
d) jakich książek, które chcieliby przeczytać, nie mogą czytelnicy znaleźć (brak 75% wypowiedzi).

Pominięcie tych pytań obniża znaczenie wyników ankiety oraz ich praktycznego wyzyskania.

Instytut Kulturalno-Oświatowy „Czytelnika" zwraca się przeto z gorącym apelem:

do czytelników wiejskich, by nadsyłali dalsze liczne odpowiedzi;
do czytelników miejskich, by odpowiadali na wszystkie pytania bez wyjątku;
do właścicieli wypożyczalni, by jak najrychlej nadesłali swe adresy do BIURA BADANIA CZYTELNICTWA W ŁODZI, ul. PIOTRKOWSKA 96.

Korespondencja

CZY SŁUSZNE WĄTPLIWOŚCI?

Do redaktora „Odrodzenia"

Wydaje mi się, że do ciekawego artykułu p. Osmańczyka „Nauka niemiecka" w 37 nr. „Odrodzenia", wkradło się wiele nieścisłości, na które pozwalam sobie zwrócić łaskawą uwagę Redakcji pisma. Niestety, poza pamięcią nie rozporządzam obecnie innymi materiałami, które pozwoliłyby mi na większą pewność w ustaleniu prawdziwego stanu rzeczy. Pozostaje mi zatem jako jedyne wyjście przedstawić w kilku punktach wiele zastrzeżeń, które mam co do szczegółów, podanych w tym artykule i prosić autora artykułu, którego prace o Niemczech i Niemcach wnoszą tyle ciekawego materiału do naszej o tym narodzie wiedzy, o odpowiedź kompetentną, czy wątpliwości moje są słuszne.

Oto one:

A) Co do miejsc, w których były lub są uniwersytety niemieckie:

1) W Düsseldorfie nie było nigdy o ile wiem uniwersytetu, była natomiast założona przed drugą wojną światową — Akademia Medyczna, jedyna w Niemczech (poza cytowaną w wydawnictwach niemieckich Akademią Medyczną w Gdańsku).

2) W Braunsberg (Braniewo), w Prusach, nie było też nigdy uniwersytetu, sądzę, że wdał się tu jakiś błąd drukarski.

3) Był zato dość sławny Uniwersytet w Lipsku (Leipzig).

4) Wydaje mi się, że był także jakiś uniwersytet w Turyngii, w Eisenach, Erfurcie czy Gotha.

5) Wydaje mi się, że po II-ej wojnie światowej, powstał także Uniwersytet w Gorlicach (Görlitz) na Łużycach.

B) Wydaje mi się, że przy cytowaniu nazw miast, w których są politechniki w Niemczech, było by bardzo pożądane używać tego samego języka (czy to polskiego, czy to niemieckiego), którego autor użył przy wyliczaniu miast uniwersyteckich. Czytelnik polski, nie znający języka niemieckiego, nie miałby wówczas wątpliwości czy w Brunświku były obie te wyższe uczelnie.

C) Co do innych szkół wyższych, poza uniwersytetami i politechnikami, to wg. autora ma ich być teraz 39 razem; zestawienie jednak poniżej podane poszczególnych typów uczelni daje w sumie cyfrę 49. Wydaje mi się, że nieporozumienie polega na tym, że wyższe uczelnie muzyki miały odrębny statut i niepodlegały Min. Oświaty. Ta sama jednak uwaga może odnosić się do 12 wyższych uczelni teologicznych.

Osobiście bardzo żałuję, że nie dowiedziałem się, gdzie mieściły się te wszystkie specjalne uczelnie oraz jakie to spośród nich zostały zlikwidowane (dwie — według autora artykułu).

D) Nazwanie Moguncji miastem uniwersyteckim, w ostatnim ustępie artykułu jest też chyba nieporozumiem.

Wydaje mi się, że interesujący temat, poruszony przez autora jest usprawiedliwieniem faktu, że tak długo ośmielam się zajmować czas redakcji pisma, nie zajmującego się specjalnie organizacją i rozmieszczeniem wyższych zakładów naukowych na świecie.

W. Petsch

●

Zrzekam się honorarium przysługującego mi z racji prawa autorskiego za opowiadanie „Sprawa życia" i ewentualnie za inne nowele z cyklu „Ślepy naród", które byłyby tłumaczone.

Francisco Espinola

Składam analogiczne oświadczenie do oświadczenia kolegi Espinoli w sprawie przekładu mojej noweli i wiersza.

Enrique Amorim

Warszawa, dnia 12 września 1948 r.

Redakcja „Odrodzenia" przekazuje honorarium delegatów na Kongres Intelektualistów we Wrocławiu Francisco Espinoli i Enrique Amorima na Fundusz Odbudowy Stolicy.

F I L M

„Decyzja prof. Milasa"

film radziecki

Niemal każdy film radziecki stawia sobie do rozwiązania jakiś problem. Profesor estoński Milas, ma odpowiedzieć widzom na pytanie, czy w dobie wielkiego, historycznego przełomu człowiek nauki może zachować wspaniałe odosobnienie, żyć w separacji z rzeczywistością, uciekając za parawan apolityczności. Nic nie szkodzi, że z góry domyślamy się, jaka padnie odpowiedź.

Historia forsuje bramy twierdzy profesora Milasa, a osobisty dramat uczonego doprowadza go do przeświadczenia, że aspołeczny izolacjonizm w cieniu biustów Voltaire'a i Hipokratesa nie wiedzie do prawdziwego szczęścia.

Profesorem jest nieznany dotychczas polskiej publiczności H. Laur, rodzaj naszego Kurnakowicza. Stworzył on świetny typ badacza-teoretyka o dobrze znanych, międzynarodowych cechach. Stosownie do rozwoju akcji jest początkowo suchy i prawie nijaki, by nabrać w dalszym ciągu rysów głęboko ludzkich.

Mylnie natomiast i szablonowo potraktowano czarne charaktery, z których tynk psychologiczny sypie się przy byle zetknięciu z życiem. Zwłaszcza dr Ryszard Milas, ex-lekarz obozu koncentracyjnego, ze swoimi miękkowężowymi ruchami, nie powinienby wyprowadzić w pole nawet dziecka. A przecie wyprowadza.

Również wyondulowana gęś, mieniąca się przyjaciółką pani profesorowej, wraz ze swym zahukanym małżonkiem, wypadła dość niedorzecznie skutkiem wyraźnej szarży, którą obciążyć wypada saldo reżysera. Wprost niepokój na widowni budzić musi kwestia: dlaczego uczony toleruje obecność w swoim domu podobnych bałwanów?

Młoda gwiazdka estońskiego ekranu, L. Laats, grająca dobrego ducha profesorskiej twierdzy, powinna się wybić na dużej miary artystkę — ma po temu zadatki.

Reżyser, H. Rappoport, nie potrafił się przeciwstawić dłużyznom scenariusza. Niepotrzebnie steruje on ku zachowaniu jedności czasu, zagęszczając zdarzenia, które nie mogły zbyt szybko po sobie następować. Wygląda to nienaturalnie i osłabia tempo, zamiast je potęgować. Z tego względu reżyser zrobiłby lepiej, akcentując odstęp czasu pomiędzy okresem okupacji niemieckiej, a późniejszymi wydarzeniami, a nawet wyrzucając zupełnie sceny z Niemcami. O pobłażliwym stosunku SS do prof. Milasa moglibyśmy się doskonale dowiedzieć ex post, ze wspomnień, czy fragmentów rozmów. Nie trzeba było na to pokazywać bardzo naiwnej sceny rewizji i jeszcze naiwniejszej postaci miejscowego sturmführera. Tym bardziej, że film radziecki przyzwyczaił nas do prawdziwych, a nie operetkowych Niemców.

Doskonałe, pełne słonecznej dynamiki są sceny zabawy ludowej w parku nad rzeką: tańce i biegnący wąż barwnych postaci. Równie pełne rozmachu, choć odmienne w charakterze, są sceny przemarszu wojska przez miasto. W ogóle fotografia jest mocną stroną filmu, która łagodzi w znacznym stopniu brak tempa w montażu. Szkoda, że początkowe sceny w ogrodzie wykonano nie w plenerze, lecz w atelier.

Ostatnią, choć nie najmniej ważną uwagę zaadresować trzeba nie do producenta, lecz do eksploatatora. Dlaczego tak starannie i poprawnie tłumaczy się dialogi filmów francuskich i anglosaskich (podając nawet — słusznie! — nazwisko opracowującego wersję polską), a tak lekceważy dialogi filmów radzieckich?

Opracowanie dialogów, to rzecz o wielkiej doniosłości. Jej lekceważenie odbija się potem na ocenie demonstrowanego filmu. O ile słaby film można inteligentnymi dialogami poprawić, o tyle — co gorsza — film dobry można nieudolnością tłumacza położyć.

Jerzy Płażewski

Redakcja Klubu »Odrodzenia« powiadamia wszystkich Członków, że przy piątej książce klubowej t. j. „Węzłach Życia" — Zofii Nałkowskiej prześle informacje w sprawie siódmej, premiowej, książki klubowej. Równocześnie Redakcja przeprasza Członków Klubu za pewne opóźnienie w przesyłce piątej książki, spowodowane przeszkodami natury technicznej.

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia" z prośbą o współpracę w dziale „Camera obscura". Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura" pod adresem: Redakcja „Odrodzenia", Warszawa, Daszyńskiego 16, dział „Camera obscura". Ustęp taki należy wyraźnie oznaczyć, najlepiej kolorowym ołówkiem. Komentarze nie są potrzebne. Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza nagrodę w wysokości 1000 zł., którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

Nagrodę zł 1000 w ubiegłym tygodniu otrzymał ob. Bohdan Godlewski, Poznań, Kossaka 6 m. 6, za wypisy ze Słownika Wyrazów Obcych M. Arcta, wydanie 18, Warszawa 1947, Wydawnictwo S. Arcta.

STETTIN

str. 112 *Heraklit (ob) Demokryt.*

str. 54 *Demokryt filozof grecki ..... naśmiewający się z głupstw ludzkich (przeciwieństwo do Heraklita, który nad nimi płakał).*

str. 265 *Prometeusz ..... wykradł z nieba ogień i przeniósł go na ziemię (uważany przeto za założyciela cywilizacji).*

str. 403 *Awiobomba nl. pocisk artyleryjski napełniony gazem bojowym, zrzucany z samolotu.*

str. 133 *Jazz-band a. (dżazbend) orkiestra rżnięta w połączeniu z rozmaitymi hałaśliwymi instrumentami, wytwarzającymi kakofonię ostrych dźwięków...*

str. 131 *Iperyt, gatunek gazu duszącego, używany w wojnie gazowej.*

str. 243 *Parcelacja nl. podział dóbr na parcele dla korzystniejszej sprzedaży każdej działki z osobna.*

str. 351 *Szalet.... mały domek w mieście na ulicach, lub placach dla wygody publiczności.*

str. 164 *Krzyż, ... Towarzystwo Czerwonego Krzyża opiekuje się rannymi i chorymi wojownikami, ...*

str. 209 *Motoryzacja nl. żądza ciągłej działalności, ciągłego ruchu.*

str. 370 *Tolerować, ... tolerowana kobieta, nierządnica zostająca pod kontrolą policyjno - lekarską.*

str. 378 *Trygław, ... w ludnym i wielkim mieście Szczecinie (Stettin).*

str. 407 *Rasizm nl. ustalanie czystości rasy osobnika przez powołanie się na jego przodków.*

str. 243 *Orgesz n. skrócona nazwa niemieckiego związku politycznego Organisation Escherich, oficjalnie rozwiązanego w 1921 r., poszczególni członkowie tego związku nadal prowadzą tajną polityczną robotę bez wytkniętej linii.*

W swoim liście do redakcji pisze ob. Bohdan Godlewski:

„Jest to słownik wyjątkowo wyczerpujący, jeśli chodzi o Niemcy. Niemal słownik niemiecko-polski, zawierający nawet formy pozdrowień, używanych w swoim czasie w poszczególnych gałęziach sportu niemieckiego. Natomiast o Orgeszu, czyli „Selbstschutzu" z okresu Powstań Śląskich tylko tyle, że jest to skrócona nazwa niemieckiego związku politycznego, którego członkowie po rozwiązaniu nadal prowadzą tajną polityczną robotę bez wytkniętej linii... Kto wie — pyta ob. Godlewski — czy w następnych wydaniach tego dzieła nie będziemy czytać: „Nazi n. (naci) skrócona nazwa ogółu członków partii N.S.D.A.P." i dalej „N.S.D.A.P.", skrót nazwy niemieckiej organizacji partyjnej. Nosili żółte albo czarne mundury, po wojnie zajmują się hodowlą białych myszy oraz chóralnym śpiewem, ale bez wytkniętej linii".

Od siebie dodamy, że wyżej wspomniane wydawnictwo należało by wycofać z rynku księgarskiego, jako nieudolne, głupie i ogłupiające. W ten sposób zredagowany Słownik Wyrazów Obcych jest obcy polskiemu czytelnikowi.

SZAŁ „TWÓRCZOŚCI"

Miesięcznik „Twórczość" w 9 n-rze w artykule Alfreda Kantorowicza w tłumaczeniu E. Osmańczyka, zamieszcza następującą informację:

„Dr. Apfel zmarł w Marsylii w czasie ucieczki przed nazistami po upadku Francji, a później już jako obywatel Ameryki, walczył niestrudzenie dalej o uwolnienie świata i Niemiec od opętanych szałem Amoka barbarzyńców. Kiedy we wrześniu 1943 roku zmarł w Nowym Yorku, posiadał w każdym razie pewność, że oto zbliża się kres nazistowskiego szaleństwa".

Można oszaleć.

WDZIĘCZNY STUDENT

W „Głosie Wielkopolskim" czytamy:

Pobliczne podziękowanie Najświętszemu Sercu Jezusowemu za złożenie egzaminu składa Edmund Politowicz, Rynek Łazarski 9 m. 5. 20799

Domyślamy się, że ob. Politowicz poszedł do egzaminu nieprzygotowany i dlatego słusznie uważa, że nastąpił cud nad Wartą.

TROCHĘ POEZJI

Oto odezwa Powiatowego Komitetu Dnia Spółdzielczości w Szprotawie:

Obywatele!

Wśród szarzyzny codziennego życia, jasny promyk słońca — to
Spółdzielczość!

Ona pierwsza, człowiekowi pracy, wskazała możliwości wyzwolenia i mając do wyboru drogę rozwoju wśród bogaczy, wybrała jednak cierniową drogę ludu pracującego. W imię walki o tani kawałek chleba, w imię obrony przed wyzyskiem i spekulacją, rozpoczęła bój. I dziś widzimy sukcesy tej walki, chociaż do zwycięstwa jeszcze daleko. — Trzy miliony spółdzielców, to najjaśniejszy dowód, że jesteśmy popularni, to znaczy, że każdy ósmy Obywatel jest spółdzielcą. Ale na tym nie możemy poprzestać. Jeszcze miliony czekają na nas i do nich nie dotarło jeszcze dobro spółdzielczości. Nie wiedzą, że ta

Spółdzielczość broni ich zarobków i chce, żeby za swoją pracę dostali jak najwięcej, żeby nie byli ofiarami spekulantów. I tych właśnie wzywamy z całego serca. Niech się niesie ten nasz bratni zew, do miast wszystkich, do sioł i do gmin, niech słyszy go cały świat, te miliardy silnych rąk, że kto ziemi tej syn niech staje w nasz szereg jak brat, by dźwignąć ku słońcu ten świat. — Pamiętajcie,

Wszyscy członkami Spółdzielni!

Powiatowy Komitet
Dnia Spółdzielczości

Obywatele spółdzielcy ze Szprotawy! Pora uderzyć w czynów stal!

CYD NAD WISŁĄ

Biuletyn PAP donosi:

NOWY SEZON W PAŃSTWOWYM TEATRZE POLSKIM

W pierwszym tygodniu nowego sezonu Państwowy Teatr Polski wystawia znakomitą sztukę Leona Kruczkowskiego „Odwety" oraz wzruszającą tragedię Wyspiańskiego „Cyd". Obie sztuki cieszyły się w zeszłym sezonie olbrzymim powodzeniem.

Dowiadujemy się, że do ZAIKS zgłosił się niejaki Corneille, twierdząc z uporem, że to on jest autorem „Cyda", a Wyspiański — tłumaczem.

REPORTAŻ

W „Gazecie Zachodniej" czytamy:

Zdawałoby się, że taka instytucja, jaką jest Rzeźnia Miejska, nie może posiadać estetycznego wyglądu. Tymczasem jest wprost przeciwnie. W ogromnych halach pracują bez wytchnienia gumowe węże i uporczywie zmywają każdą pojawiającą się na kamiennej posadzce rdzawą plamę.

Także czysto wymiecione podwórza oraz stajnie, zaopatrzone stale w świeżą słomę, pozwalałyby raczej sądzić, że znajdujemy się w jakimś wzorowym majątku hodowlanym, a nie w przybytku śmierci — przez który przechodzi codziennie wiele tysięcy zwierząt, traktowanych zresztą z dużą oględnością. Żadnego zwierzęcia nie wolno uderzyć, a to zarówno ze względów humanitarnych, jak i dlatego, że pręgi obniżają wartość mięsa. Tak więc w atmosferze spokoju chrząkając po sąsiedzku z towarzyszkami, okrągłe świnki spędzają swe ostatnie chwile.

Elektryczne szczypce, dotykając głowy, przynoszą im śmierć nagłą i bezbolesną. Dotknięcie drugie — wywołuje błysk rubinowego strumienia. Po tej operacji, która robi wrażenie raczej jakiegoś niewinnego zabiegu kosmetycznego, świnki nurkują w basenie z gorącą wodą.

Zdawałoby się, że reportażem z rzeźni nie można wzruszyć czytelnika, a jednak... „w atmosferze spokoju chrząkając po sąsiedzku z towarzyszkami, okrągłe świnki spędzają swe ostatnie chwile..." — Liryka, najczystsza liryka!

FABRYKI

Omawiając sytuację w przemyśle gastronomicznym „Dziennik Zachodni" konkluduje:

Wielkie ośrodki miejskie, jak Warszawa, Łódź czy Katowice zupełnie dojrzały do tego, aby stworzyć tam wielkie fabryki tanich wysiłków. Również i w całym szeregu innych miast znajdą one chętnych konsumentów.

...a raczej naśladowców...

REDAGUJE ZESPÓŁ. Adres redakcji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 16, tel. 40.180-90 wewn 22 — Redaktor przyjmuje od g. 9 do 10. — Adres administracji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 14, tel. 87-112 Konto w PKO — I. 4739
Drukarnia nr 2 „Czytelnik", Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna 80 zł, kwartalna 240 zł B-56738 Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik"